

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI

GRABOWSKIEGO

175, DRAYCOTT AVENUE,  
LONDON, S.W.3. ENGLAND

KS. PROF. E. DĄBROWSKI

DZIEJE PAWŁA  
Z TARSUStr. 685. Ilustracje. Cena z przesyłką  
43/-Na zamówienie wysyła:  
Katolicki Ośrodek Wydawn. „Veritas”  
12, Praed Mews, London, W. 2.

# ZYCIE

## KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

LONDYN, 19 WRZEŚNIA 1954 R.

ROK VIII.

Nr 38/378

DANIEL PEZERIL

## ULICA NOTRE DAME

„Rue Notre Dame“ napisana jest w formie pamiętnika. Stary proboszcz, wysuszony rutyną, spisuje go w cieniu kapituły przy paryskiej katedrze, gdzie osiadł na dopełnienie żywota. Zetknięcie się z młodym księdzem-robotnikiem, którego był kierownikiem duchowym, powoduje wstrząs. Stary kanonik surowo ocenia pracę całego swego żywota i zachwyca się nowymi formami apostołstwa. Starzec urzeczywistnia żarliwe nadzieje seminarzysty. Książka Daniela Pezeril odzwierciedla stosunek pełen nadziei i wycieknięcia, jaki żywiło duchowieństwo francuskie dla eksperymentu księży-robotników. Nie dotyka ona jednak z bliska kwestii socjalnych ani politycznych, które tak zaważyły na losach księży robotników, jest natomiast nieprzeciętnym dziełem literackim.

1 lutego.

Cóżem więc robił będąc proboszczem? No więc, zarządzałem parafią. Długim nie było (nie mówię o latach ostatnich). Budowałem. Nabożeństwa odbywały się punktualnie. Ani jednego pogrzebu z niepełnym kontyngentem. Każdego ranka pobożnie odprawiałem Mszę; siłą rzeczy była to Msza najliczniej uczęszczana, ponieważ każda parafia, jak należy, chodzi raczej na Mszę proboszczą niż na Msze wikarych. Zaznaczam: godne osoby z parafii, te, co się liczą... Odmawiałem brewiarz...

12 lutego.

W tej trudnej kwestii brewiarza przynależało muszę, że Robert wybrał sposób postępowania prosty, jasny. Długo zajął się świętymi niż kiedykolwiek. Kocham te dusze. Mówią prawdę, nie bardzo strzegą w nim skutki mojego wpływu od blisko dwu miesięcy. Pytam: coż jest w nim ze mnie? Nic, nie jeszcze. Słucha z uległością, która mnie wzrusza. A potem zaczyna słowami, które mi utkwiły w pamięci: „Tak, ale...” I natychmiast daje nura w to, co miał do powiedzenia, wymowny, świetny, całkiem inny, ot co, inny całkiem, niż moje słowa starały się, żeby był. Jestem mu niepotrzebny. Przychodzi i nieświadomie przynosi mi całego siebie. Ta niezależność w połączeniu z tym darem peszą mnie. Milknie.

Przerwała mi Adela, przynosząc podwieczorek. Był obfitszy, kiedym tu przybył. Dzisiaj jem mniej i rzeczy bardziej lekkie. Tak więc moja starca egzystencja doskonalą się w każdym szczególe.

Robert wyszedł od tego, co u siebie nazywa „słabością”, „niemożnością”. Oto, co mnie nagłe oślnię. To cicha kogoś, kto istnieje. Powiedział mi: „Nie potrafisz odklepywać brewiarza. Jeżeli nie mogłem zacząć przed jedynastą, albo kwadrans po jedenastej, nie jestem w stanie go przyspieszyć w leku, aby o północy nie spadło na mnie, wraz z ostatnim psalmem, brzemie grzechu śmiertelnego”. Ten mały wierz w Boga. Przede wszystkim chodzi mu o godność modlitwy, a czymże jest modlitwa, gdy przestaje być święta? On wie, że Bóg słucha i przed Ojcem swoim idzie spokojnym i beztrojskim krokiem dziecka. Jest Ojciec i dziecko: oto sekret jego spokoju. Cóż za barbarzyńca był ze mnie w czasie chochy mego proboszczowania u świętej Julii. Widzę siebie chodzącego po korytarzu tam i spowrotem, aby nie zasnął, polykającego oremusy z benedictynami; spoglądałem na zegarek, trzeba mi było pomiędzy dwiema pozycjami wskazówki upchnąć jeden notkurn, sekste albo komplete, w przeciwnym razie fatalna godzina wydzwoniłaby dwanaście uderzeń, a ja miałbym straszny wyrzut sumienia. Mój mały Robert nigdy się nie nagiął do tej komedii. Miał rację. Teraz widzę, ile w niej było służalczego leku, wstrętnego legalizmu, naprzyrodzonej próżni. Wstydzę się dziś, że mogłem tolerować to w sobie.

Mimo wszystko zaoponowałem, ponieważ identyczne pytanie stawałem i sobie po wiele razy:

— Ale w takim razie, mój mały, nie raz zasypasz nie odmówiwszy psalmów?

— Jeżeli materialnie zabrakło mi czasu, abym je odmówił — odpowiedział mi — jakże Bóg może ich zażądać ode mnie?

Wyznam, że ta odpowiedź wydała mi się pełna rozsądku. Mimo to nalegałem jeszcze:

— W ciągu ów dwudziestu czterech go-

dzin zawsze ma się czas na odnowienie brewiarza... Dlatego, żeś czytał gazetę...

— Ach! nie, Ojcie — przerwał mi — Wstawszy na Mszę o wpół do siódmej zjechał mi się nie mieć wolnej chwili; dwadzieścia minut na obiad i na kolację, to wcale nie jest za dużo, kiedy samemu trzeba sobie podgrzewać jedzenie. Wieczorem znowu zebrania przeciągające się aż do pory, o której wspominałem...

Wiem bardzo dobrze, że w Paryżu księżom, którzy mają czas, brak gorliwości.

— Cóż robić, Ojcie — powiedział mi jeszcze — skoro Pan skonfiskował mi cały dzień na orkę swego pola, dlaczego miałbym się wstydzić, wydartym sam sobie, tak unicestwić, stawac wieczorem przez Jego obliczem?

— Oby tylko praca twoja była dobrze zorganizowana — zwróciłem mu uwagę — obys w niczym nie ulegał niedbalstwu, fałszywemu poświęceniu, zbytecznym troskom...

— Za każdym razem badam sam siebie pod tym względem — wyznał mi. — Życie to twarda macocha. Nie jestem nawet w stanie sprostać jej wymaganiom...

Patrzac jak źle wygląda, jaką ma brudną sutannę i nieczyszczone buty, dostrzegłem, że mu nie staje czasu zadbać o siebie. Na przykład w jakim stanie jest jego ubranie? Takim sposobem marnuje się zdrowie. „Książę zjada człowieka”, mawiał Ojciec Chevrier.

Sobota, godz. 11.

Znow jestem u siebie po niesłychanym wypadku. Byłem u Roberta około siódmej trzydziestu, jak prosil. Za całą wskazówkę miałem tylko numer i ulicę. Ani kościoła, ani plebanii. Wszedłem przez szarą dwuskrzydłową bramę, pod którą ciekła strużka brudnej wody. To w samym środku proletariackiego Paryża, a przysiągł byś, żeś na wsi. Młody ksiądz, wiedząc jak łatwo się pesze, zapowiedział mi: „Nie ma dzwonka, proszę wejść wprost”. Stosownie do tego nacisnąłem z należytym względami klanek, która przypominała raczej skobel od pianicy niż kamieniczny zamek. Zobaczyłem brukowane podwórko, jakich pełno być musi w Kacym Dolku, ze wszystkimi przynależnościami: skrzyniami na śmieci, narzędziami w kącie, rupieciami domowego życia. Jakaś pocziwa baba zawołała mnie: „Tedy, Ojciec, tedy!” Tak się znalazłem w kuchni. Robert był zajęty. Miałem na niego czekać. Wskazała mi miejsce na ławie, gdzie już ludzie siedzieli. Zaczęła gadać, pichcać coś równocześnie. Najwidoczniej wszyscy, co tam byli, znali się. Później przekonałem się, że tak nie było. Ale mądrała, co by na to wpadł! Dowiedziałem się, że była babką, a poza tym, że pichciła nie dla siebie, ale dla nas wszystkich. Bedziemy jedli po zebraniu. Moja ława była pewno twarda. Ale tego wieczoru byłem podniecony, nie mi nie dokuczało. Otwierałem oczy i uszy. Sąsiad, robotnik w moim wieku, rzekł mi coś z porozumiewawczą miną, czego nie zrozumiałem, bo już nie miał zębów. Wobec tego małżonka jego, potwornie gruba matrona, powtórzyła mi nieco skryptywnie ale swiszczącym głosem: „Pocimy się?” Byłem cały mokry. Oczywiście oczekiwala odpowiedzi. „Tak, rzekłem, szedłem prędko, myślałem, że się spóźnię, gorąco mi...” Natychmiast zaprestowała energicznie i sądząc, że jestem głuchy wrzasnęła mi do ucha: „Tu nikt nigdy nie jest spóźniony”. Dzieci bawily się, inne ssaly, spostrzeżenie paru mężczyzn w sile wieku, którzy czytali Ewangelię. Wreszcie drab jakiś około trzydziestki otworzył drzwi, których nie zauważyłem: „Ojciec już idzie”.

Wierciłem laską o podłogę, kiedy wszedł Robert. Sledziłem plecami do niego, tak że pichcała niewiasta z miejsca wskazała na mnie: „Oto Ojciec, któregoście dziś wieczór czekali”. Robert miał na sobie kombinizon mechaniczny, a na widok, że jego ręce i paznokcie poplamione były smarem nie do zmycia, wcale to na mnie nie zrobiło wrażenia, jakby się coś w nim zmieniło. Po prostu odnalazł ręce swego ojca i swego dziada. To były ludzie zdrowi. To wszystko. Dobry podkład na księdza. Wszyscy przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, ja pierwszy. Byłem bardzo wzruszony. Pożerając księdza oczami, przyłapałem się nagle, że mruczę po cichu: „Mój mały Robert, mój mały Robert...” Byłem jak mała. Znajdowaliśmy się na parterze dwu lub trzypiętrowego domu. Zburzono przepierzenie, żeby połączyć się z nie wiem

jakim lokalem. To była rodzinna robota, gruba, szybka, oszczędna. Mogliśny pomieścić się w trzydziestkę. Biurko Roberta, z jego Ordo, brewiarzami, stosami Ewangeli i papierami w nieładzie, odsunięto na bok. To tamten wielki drab musiał przygotować salę na Mszę dzisiejszego wieczoru. Za nami mury, świeżo tynkowane, już się pokryły złotymi kragami wilgoci. Kolo stołu, który miał służyć oficjantowi, rozłożono prześcieradła, zgrzebne, ale bardzo czyste. Ustawiliśmy się w półkole, dzieci z przodu. Byłem kolo nich. Na mnie konczył się pierwszy rząd. Stałem przy ścianie.

Kiedy Robert przyoblekł kapłańskie szaty i obrócony ku nam zaczął modlić, można było przysiąc, że zastąpił z gotyckiego malowidła. Rycina z mszalu. Uderzyło mnie to. Pomyślałem o tych wszystkich ludziach, co przez całe życie mają w rękach najwyżej papier gazetowy. Nie wiedzieli pewno, jakimi oczami należało patrzeć na niego. A jednak Robert nie był za sztygą. Dzięki dobrej woli ogółu zwałczył pomalutku rysy obcości. Przy Ewangeliach zaczęliśmy czuć się razem. Słowa Pana naszego Jezusa Chrystusa wstąpiłyśmy. Mężczyzna około pięćdziesiątki odczytał nam tekst zrozumiały, przetlu-

maczony poprawnie. Potykał się na wyrażeniach specjalnych: faryzeusze, saduceusze, Genezareth. Ale te parę słów Mistra, które przytoczył, wstrząsnęły nami, tak że uwytklił. Następnie Robert miał kazanie. Mówił nam o Imieniu Jezusa, o potędze Imienia Jezusa. Można by przysiąc, że to egzorcysta. Mówił, że ponadto nie nie posiada, że każdy z nas na swoją miarę ponadto nie nie posiada, ale że to dość, aby przemienić świat. Przyszedł do nich z tym jedynym skarbem. Wspomniał historię Piotra i Jana, mówiących do sparaliżowanego żebraka: „Nie mamy srebra ani złota, ale to, co mamy dajemy ci: w Imię Jezusa Chrystusa, wstań a chodź”. Czuliśmy to wszyscy. Piotr, Jan, to był on. Była w tym wielkość niesłychana. Nie ziemską godność, gdyż, mój Boże, gdzie by szukać większych biedaków, ale świętość kapłaństwa, cud Apostołów, nie zwyciężona wiara pierwszych chrześcijan. Zauważyłem, że wszyscy ci ludzie składali swój los całkowicie w ręce Kościoła. I to dla mnie było niczym wizja. Nurzał się w odzyskanej ufności, takiej, jaką tylko biedni mogą odczuwać. O święty Kościele, matko nasza! — wykrzyknąłem całą mocą swej duszy, stary ślepiec, jakim jestem, zaczyna mruczyć oczy. Otwórę ramiona maluczkim, dla ciebie strzegą skarbu, jakiego nikt nie umiał ustrzec tak, jak oni. Oni mają wiarę, której nikt nie podejrzuwa.

Tym kazaniem i sposobem, w jaki je słuchano, Pan nasz naprawdę był uczony. Jąłem Go wielbić z głębi duszy. Lecz coż rzecz o samej Częście Eucharystycznej? Jak opowiedzieć? To był stół i wszyscy byliśmy przy stole. „Bierście i jedzcie, to jest ciało moje. Bierście i pijcie, to jest krew moja.”

Co mnie szczególnie uderzyło, to wielka modlitwa trynitarna. Tak, ci prosi, niekrzesani ludzie z całych sił inwokowali Trójcę. Pobożne osoby z naszych „dobrze utrzymanych” parafii słabe mają, niestety, pojęcie, że Msza odbywa się w łonie Trójcy Najświętszej. Trzeba dogmatycznego wykształcenia, żeby dojść do tego. Nawet u nas, księży, nie zawsze to bierze górę. Otóż ci ludzie, w prostocie serca, tym żyli. „Ojcie, mówię pięćdziesięcioletni mężczyzna, przez Syna Twojego Jezusa Chrystusa chwalił Cię. Dziękujemy Ci za Jego Mekę błogosławioną, za chwałebne Zmartwychwstanie, za Jego Wniebowstąpienie.” Później przyszedł ten wspaniały ustęp, taki ciemny i tak zarazem niezanny, gdzie mowa jest o Aniele Bożym, który ma złożyć ofiarę. Trzeba było egzegety, żeby wiedzieć, o co chodzi. Sam czytałem sprzecznie na ten temat rozprawy, aż do chwili, kiedym słusznie przesądził, że to Duch Święty. A oni mówili: „Ojcie, jakże możemy ofiarować Ci Syna Twojego, Jezusa Chrystusa? Niech Duch, który jest miłością i Ojca i Syna ofiaruje Go w naszym imieniu, abyśmy wszyscy, którzy uczestniczymy w ołtarzu, dostąpili błogosławieństwa.”

Prawie wszyscy obecni sięgnęli po eucharystyczną strawę. Byłem prawie ze sam, choć ksiądz, z tych, co nie przystąpili do Komunii. Czekala mnie bowiem moja Msza samotna nazajutrz w katedrze. Cierpiałem trochę z tego powodu. I ja bym chciał...

...Wszystcyśmy się odnaleźli w kuchni. Kantynarka nakładała porcję: „No, jeszcze lyżka... Jeszcze zdzieko gulaszu... Tutaj kartofle...” Nie przepadaj za dzieleniem posiłku z obcymi ludźmi, nawet jeśliśmy przystępowali do Komunii ramie w ramie. Moja matka wprost przeciwnie, byłaby uszczęśliwiona, jestem pewien. Ileż razy skarżyła się przede mną na samotność, w jakiej znowu gubiła się przy wyjściu z kościoła!

Dzisiaj Robert ma koszulę khaki i szare ubranie. Jego silne ramiona rozpychają robotniczy ubiór. „Tak, tak, mówię mu, my księża znamy swój fach. Nie lekceważcie nas. Niebezpieczeństwo, jakie grozi tobie i podobnym, to to właśnie, że sobie z niego nie zdajesz sprawy. Prędzej się później przyjdzie do tego, żeby złożyć parafię, tam gdzie będziecie. Wówczas przyznacie sami, żeśmy wam wyglądzieli ścieżki.” Byłem zdumiony, kiedy Robert powiedział mi, że ich zwierzchnik mówił z nim właśnie na ten temat. Naskiokowali — więcej nie można powiedzieć — następujący schemat: a) pracować jak wszyscy, aby zsolidaryzować się z nigdy nieosiągalnymi biedakami; b) jeżeli ci uznają to za możliwe, rzucić pracę i z ich pomocą ewangelizować oto-

czenie przez cały czas; c) następnie powoli kształtować tę wspólnotę i zrobić z niej parafię. Oto, gdzie widać mądrość kardynała. Sam duch wskazuje, że to inicjatywa Kościoła. Zresztą dowiedziałem się, że ze swej strony stare parafie robią przegląd swoich metod. Wszędzie wre praca. Dochodzimy do wspaniałej zgody.

Robert zawiadamia mnie o jednej z tych wstrząsających prób, jakie trzeba było, niestety, przewidywać. Niemala to rzecz, misjonarz budujący kościół. Kamienie osuwają się. Tydzień nie minie — tak szybko rozchodzą się nowinki — a cała kapituła będzie wiedziała, że Adoif, ten wielki drab, który przygotował salę na Mszę tamtego wieczoru, odszedł z rozwiedzioną żoną rowerowego mechanika i że drugi, Henryk, nowoochrzczony, też się zalał. Tak, Adoif, Henryk, wiem, że usłysze te imiona... powtórzą mi je. Niezwykła to staranność, z jaką księża, którzy w czasie sprawowania urzędu, tak jak ja, nie nie wiedzieli, co się w parafii dzieje, są au courrant niepowodzeń najmniejszego misjonarza. Rozprawiają, gadają, jakby sami przy tym byli. Ci z dobrą wolą wnioskują: „To jest nauka. Nie dajmy się za szybko uwodzić nadziejom.” A inni: „A nie mówiliśmy, to nie ma sensu, to trwać nie mogło!”

O tak, odpowiem im, to mogło trwać. Ale was, w waszych parafiach, czy was kiedy diabeł nachodził? Tam miota się on jak szalony. Zawraca głowy, miesza karty, wykorzystuje najgorsze nieporozumienia. Powinności raczej dziwić się wraz ze mną, że was tak zastawił w spokoju. A przecież robiliśmy to samo, co Syn Boży, którego ukrzyżował. Tylko my, myśmy mu tak bardzo nie przeszkadzali. Koniec końców, po co miałby macieć cudowne koncerty, jakimi były moje Msze o godzinie jedenastej? Czyż nie byłem rezymerem bez zarzutu? Po co miałby tracić swój czas, aby paraliżować ma administrację?... Nieporuszone parafie, gdzie nigdy nie się nie osuwa, zbudowane jesteście ze żwiru. Ale jeżeli Kościół stoi na żywych kamieniach, jakimi są ludzie, jakże dziwne się nagłym zradom? One są po prostu dowodem, że pasterz kierował się Miłością i Wiarą.

Przełożyła  
Zofia Romanowiczowa

### BISKUP REINYS ŻYJE W WIEZIENIU

Według wiadomości, otrzymanych od wracających z Rosji sowieckiej jeńców niemieckich, biskup sufragana wileński Mieczysław Reinyś żyje i przebywa nadal w więzieniu niedaleko Moskwy. Przed kilku laty biskup Reinyś oskarżony był o szpiegostwo na rzecz Watykanu i skazany na 10 lat ciężkiego więzienia. Od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Niektórzy z jeńców niemieckich mieli jednak możność dowiedzenia się i stwierdzili, że biskup nadal żyje.

Ordynariuszem archidiecezji wileńskiej jest arcybiskup metropolita Jąbrzykowski, rezydujący obecnie w Białymstoku. Po zagarnięciu części archidiecezji wileńskiej, włącznie z Wilnem, przez Rosję sowiecką, Ojciec św. zamianował ks. Reinyśa sufragana archidiecezji i wikariuszem generalnym dla części archidiecezji, włączonej do republiki sowieckiej. Wikariuszem generalnym drugiej części mianowany został ks. Adam Sawicki. Biskup Reinyś urodził się na Zmudzi w r. 1884. Jest on biskupem tytularnym Cypseli. Jedynym pozostałym jeszcze na Litwie biskupem jest biskup K. Półtorakas, rezydujący w Poniewieżu. Przyjął on tytuł biskupa wileńskiego i poniewieżkiego. Mimo wielkich szkłań bolszewickich administruje całym terytorium Litwy sowieckiej. Z powodu komunistycznej tyranii właściciwa jednak administracja kościelna Litwy nie jest możliwa. (IC)

W NIEDZIELE, DNIA 26 WRZEŚNIA  
O GODZINIE 1 PO POŁUDNIU  
w Brompton Oratory w Londynie  
odprawiona zostanie Msza święta  
W ROCZNICĘ ARESZTOWANIA  
KARDYNAŁA PRYMASA POLSKI.

Kazanie wygłosi Ks. Prałat  
Władysław Stanisławski.

## O D E Z W A

W ZWIĄZKU Z ROCZNICĄ UWIĘZIENIA J. EM. KS.  
KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO PRYMASA POLSKI

Kochani Rodacy!

Dnia 25 września upłynie rok od chwili uwięzienia Najdostojniejszego Księęcia Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski.

Bezbożny reżym, wymierzając ten straszliwy cios przeciw wolności Kościoła katolickiego w Polsce, chciał zastraszyć nasz Episkopat i duchowieństwo, chciał rozłuznić więzy łączące naszą Ojczyznę ze Stolicą Apostolską, w końcu usiłował podkopać naszą wiarę. „Uderzę w pasterza, a rozproszą się owce”. (Zach. 13, 7; Mk. 14, 27)

Rachuby bezbożników jednak zawiodły, wierni bowiem, widząc cyniczne bezprawie i oczywisty gwałt, jaśniejsi przejrżeli szatańskie zamiary wrogów Boga i Polski, i przeto mocniej skupili się przy św. Kościele.

Nikt nie zdołał wzmówić w Polaków, że nasz świętobliwy Arcypasterz, tak gorliwy patriota i ofiarny społecznik, mógł uczynić coś, co by było niezgodne z prawem Bożym lub z dobrem Ojczyzny. Wszyscy uczciwi Polacy wiedzą, że przewrotni zbrodniarze upatrzyli sobie w uświęconej Osobie Kardynała Prymasa ofiarę, którą wykorzystywać pragną do nieczynych swych celów podczas ohydnych pokazowego procesu.

Fakt, że bezbożnicy dotąd nie podali powodów aresztowania i uwięzienia Kardynała Prymasa, dowodzi, iż nie mają oni niczego, co by Mu mogli zarzucić. Miejsce uwięzienia Prymasa bezbożni trzymają w bojaźliwej tajemnicy, ponieważ lękają się kontaktu dostojnego Więźnia z Polską i ze światem.

Przed rokiem cały świat pod przewodem Ojca Świętego dał wyraz swemu oburzeniu z powodu niespotykanego bezprawia, ofiarą którego padł nasz umiłowany Kardynał Prymas.

Wbrew bezczelnym oczekiwaniom bezbożnych, upływający rok trzymywania Prymasa w więzieniu bynajmniej nie pokrył pyłem niepamięci tego bolesnego wydarzenia. Nieustannie podnoszą się głosy współczucia i protestu.

W tę pełną smutku rocznicę, która jeszcze wyraźniejsze piętno hańby wycisnie na czołach ohydnych zamachowców, my Polacy, przebywający poza Krajem, łączymy się w ból i modlitwie z całym Narodem.

Kornie zwracamy się do Boga Wszzechmocnego, który wysłuchawszy ongiś modlitwy Kościoła uwolnił z więziennych kajdanów Apostoła Piotra, i prosimy, by raczył okazać zmiłowanie naszemu uwięzionemu Prymasowi, co nawet w nieznanym miejscu swej karni na pewno służy Najwyższemu z całego swego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich.

Zanosimy nasze gorące modły do Matki Boskiej Częstochowskiej, której wizerunek zdobi herb prymasowski, i błagamy Ją, by w swoim świętym Maryjnym Roku zniweczyła kłownia wrogów Boga i przywróciła Prymasa naszemu Narodowi.

W tej myśli odwołuję się do Rodaków moich przebywających poza Krajem, wzywając ich wszystkich, by w rocznicę uwięzienia Kardynała Prymasa zgromadzili się jak najliczniej w kościołach i kaplicach, błagając Boga o wolność dla Niego oraz dla uwięzionych polskich biskupów i kapłanów.

Wszystkich moich Drogich Rodaków gorąco zachęcam do udziału w naszych wspólnych modlitwach, które za przemożnym wstawianiem Niepokalanej Maryi, Królowej Polski, na pewno uproszą zmiłowanie Boże, pomoc i triumf dla świętego Kościoła w naszej cierpiącej dzisiaj Ojczyźnie.

Z serdecznym błogosławieństwem

† JÓZEF FELIKS GAWLINA  
Arcybiskup tyt. Madytu  
Opiekun Polskiej Emigracji

W Lourdes, w święto Wniebowzięcia Najświętszej  
Maryi Panny, 1954 r.



## Z E Ś W I A T A KATOLICKIEGO

Teologowie i architekci o budowie kościołów. W Monasterze w Westfalii odbywały się obrady teologów i architektów nad problemem nowoczesnej budowy kościołów. Dyskusje przeprowadzone miały na celu doprowadzenie do usporządzenia, jakiej próbie usunięcia nieporozumień, jakie w tej dziedzinie istnieją między duchownymi odpowiedzialnymi za budowę nowych kościołów a architektami, którzy przygotowują projekty. Zdarza się bowiem, że architekci mają za „mało rozumienia, czym jest i ma być dom Boży, a duchowni nieraz inicjatywy artystycznej stawiają zbyt ciasne granice, które utrudniają lub wręcz uniemożliwiają stworzenie prawdziwych dzieł sztuki. Główne myśli obrad były następujące.

Kościół jest domem Bożym, w tym znaczeniu jest to miejsce, gdzie wierni zbierają się w imię Chrystusa dla oddania tej części Bogu, do której zostali powołani. Aczkolwiek tabernakulum ma pierwszorzędne znaczenie ze względu na rzeczywistą obecność Boga-Człowieka, to jednak nie tabernakulum sprawi, że kościół jest kościołem, lecz ołtarz, jako centrum społecznej zebrania dla sprawowania świętej liturgii — i stąd też nazwa kościoła czyli zebrania. Dlatego ołtarz powinien być w centrum (niekoniecznie geometrycznym), wokół którego gromadzą się wierni wezwani przez Chrystusa spośród świata dla oddawania czci Najwyższemu. Wierni są „już“ powołani do tej służby Bożej, ale „nie są jeszcze“ w wiekistym zjednoczeniu z Bogiem, są jeszcze pielgrzymami, kościół jest miejscem odpoczynku, a nie stałym mieszkaniem — i dlatego i te względnie „już“ i „nie jeszcze“ winny znaleźć w budowaniu kościołów swój artystyczny wyraz.

Nie nowe materiały budowlane i użytkowość kościoła winny być natchnieniem artysty-architekta, lecz instynkt artystyczny i serce. Istnieją wiele teorii rozumowych i abstrakcyjnych, które mają wyjaśnić usługę, jaką architektura może oddać liturgii. W gruncie rzeczy wszystkie te teorie mają u swego podłoża myśl, że liturgia jest jakby „maszyną liturgiczną“. I w tym tkwi zasadnicze nieporozumienie. W liturgii nie ma celowości użytkowej. Jeśli coś na ziemi nie ma funkcji użytkowej, to właśnie liturgia. Konstrukcja kościoła nie służy liturgii, lecz jest integralną częścią liturgii, podobnie jak taka integralna część liturgii jest śpiew gregoriański. Elementami istotnymi w kościele są: społeczność zbierająca się na liturgie, ołtarz i wicość. Te trzy elementy są współzależne: społeczność zebrana w Duchu Świętym, przed ołtarzem, przedświątynią, składa na rzecz Nieba ofiarę ze samej siebie i otrzymuje stamtąd odpowiedź. Świątynia „nie jest jeszcze“ Niebem, jest jednak „już“ przedświątynią Nieba. Architektura kościoła musi więc znaleźć artystyczny wyraz między „Amen, przyjdź, Panie Jezu“ a „Oto Ja jestem z wami“.

Najbliższy światowy kongres „Pax Romana“. W roku 1955 odbędzie się w Anglii światowy kongres międzynarodowej katolickiej organizacji intelektualistów „Pax Romana“. Większa część zebrań ma się odbyć w Nottingham, a niektóre posiedzenia w Londynie.

Kaplica katolicka w Elizeum. Prezydent Francji René Coty postanowił dać kaplicę w pałacu Elizejskim przywrócić do dawnego jej przeznaczenia i poprosił kardynała Felina o wyznaczenie kapelana dla tego miejsca kultu katolickiego.

Kandydat na zakonnik ministrem. Premier Vietnamu Nga Dim Diem jest katolikiem i miał zostać benedyktynem, gdy został mianowany premierem. Mieszkał w opactwie św. Andrzeja w Belgii, w którym znajduje się wiewi mnichów z Dalekiego Wschodu.

Śmierć specjalisty od spraw sumeryjskich. Antoni Deimel, T.J., jeden z najslawniejszych profesorów Papieskiego Instytutu Biblijnego, zmarł w wieku lat 69. Pochodził z Westfalii, a rodzice jego odznaczali się żywą wiarą i gorliwą praktyką życia chrześcijańskiego. Powołany na profesora założonego przez św. Piusa X Papieskiego Instytutu Biblijnego mógł wykorzystywać swą wiedzę i doświadczenia w zakresie języków wschodnich, zwłaszcza hebrajskiego, asyryjsko-babilońskiego i sumeryjskiego. Wśród jego prac należy wymienić: „Założenie wydawnictwa „Orientalia“, „Gramatykę sumeryjską“, siedmiotomowy „Leksykon sumeryjski“, „Panteon babiloński“ i szereg innych prac z zakresu komentarzy i obrony Prawdy objawionej w Biblii. Zmarły odznaczał się nie mniejszą głębią, jak jego wiedza, wiarą i pobożnością; szczególne nabożeństwo żył do niedawna kanonizowanej, zmarłej w roku 1903, św. Gemmy Galgani.

Lotnicy polscy na cele powołań kapłańskich. Stowarzyszenie Lotników Polskich w Londynie ustanowiło specjalny fundusz na rzecz powołań kapłańskich wśród młodzieży polskiej. Przeprowadzona w tym celu zbiórka w Wielkiej Brytanii i Irlandii dała piękne rezultaty.

Zarysowujący się już od roku kryzys

**Czas odnowić  
prenumeratę**

## ANKIETA „LA CROIX“

# ZA CZY PRZECIWIW EUROPEJSKIEJ WSPÓLNOTY OBRONNEJ?

w budowie Federacji Europy Zachodniej wszedł obecnie w fazę decydującą. Podpisane, z lekkim sercem, w momencie wielkiej koniunktury, układy paryskie o Europejskiej Wspólnocie Obronnej przez Francję, Niemcy, Włochy, Belgię, Holandię i Luksemburg, nie zostały ratyfikowane przez państwa stanowiące trzon całego systemu, tj. Francję. Gdyby Francja ratyfikowała układ paryski, Włochy podążyłyby niewątpliwie w jej ślady. Lecz Francja długo nie mogła się zdobyć na odpowiedź stanowiącą: tak czy nie. Rząd p. Mendès France'a czynił gorączkowe wysiłki, by układy o Wspólnocie Obronnej zmodyfikować, jednocześnie jednak, by nie wziąć na siebie odpowiedzialności za rozbitcie „Małej Europy“ i rozwianie marzeń o możliwości istotnego porozumienia francusko-niemieckiego.

Sytuacja jest istotnie bardzo trudna, gdyż opinia publiczna we Francji jest głęboko podzielona co do całego kompleksu zagadnień polityki międzynarodowej, łączonych ze sprawą Europejskiej Wspólnoty Obronnej, a chodzi o zagadnienia tej miary, jak decyzja, czy Francja ma pozostać mocarstwem suwerennym czy poddać się władzy „państwa państwowej“ organizacji federalnej, o stosunek Francji do Niemiec i Szwecji i o rolę jej w pakcie atlantyckim. Rzec można, że przyszłość Francji i Europy rozgrywa się na karcie tej kapitalnej decyzji.

### ANKIETA „LA CROIX“

W tej sytuacji katolicki dziennik paryski „La Croix“, zawsze żywo reagujący na wszystkie objawy i troski życia politycznego, otworzył swe łamy dla wszechstronnej ankiety: „Za czy przeciw Europejskiej Wspólnocie Obronnej“. Zanim rozpoczęła się debata w parlamencie, „La Croix“ zamieszczał długi szereg niezmiernie interesujących wypowiedzi na ten temat wybitnych polityków, pisarzy, ekonomistów i wojskowych, którzy w tych wywiadach poruszyli wszystkie podstawowe zagadnienia polityki francuskiej.

Pomimo że w międzyczasie parlament francuski odrzucił wniosek o ratyfikację układu paryskiego, ankieta „La Croix“ nie straciła bynajmniej na aktualności, gdyż daje ona wyjątkowo pełne nasświetlenie opinii publicznej francuskiej co do ważnych zagadnień polityki międzynarodowej. Streszczamy je więc poniżej.

### ZWOLENIENICY ARMIJ EUROPEJSKIEJ

Wypowiedzi te można podzielić na 3 grupy: do pierwszej zaliczyć trzeba odpowiedzi za Wspólnotą obronną, do drugiej przeciw Wspólnocie, do trzeciej wypowiedzi o charakterze mieszanym — za Wspólnotą, lecz z zastrzeżeniami.

Całkowicie jasne, stanowcze i pozytywne stanowisko wobec Wspólnoty obronnej zajął gen. Béthonart. Ten wybitny wojskowy, dowódca wyprawy norweskiej, w której brały udział również oddziały polskie, na pytanie, czy uzbrojenie Niemiec Zachodnich jest potrzebne i niezbędne i dlaczego, stwierdził: blok komunistyczny posiada 400 dywizji od Łaby do Chin. Wszystkie państwa satelickie są uzbrojone przez Rosję i objęte Wspólnotą wojskową komunistyczną. Byłoby wielkim złudzeniem liczyć na negocjacje z Rosją dla ułożenia jakiegokolwiek „modus vivendi“, dopóki istnieje tak wielka dysproporcja sił. Z Rosją będzie można układać się dopiero wtedy, gdy stacii ona nadzieję, że uda się jej zwaśnić państwa Europy Zachodniej i utrzymać wrogosć pomiędzy Francją a Niemcami. Uzbrojenie Niemiec w ramach Wspólnoty Obronnej jest koniecznością dla wytworzenia równowagi sił w stosunku do Rosji i Władczyca Niemiec do bloku państw zachodnich. Powstrzymałoby to też Niemcy od szukania porozumienia z Rosją, jak o tym teraz znowu myślą byli hitlerowcy i pan-germaniści. Wobec tego gen. Béthonart uważa projekt Wspólnoty obronnej za słuszny, zarówno z punktu widzenia utrzymania pokoju i jedności europejskiej, jak i potrzeb całej unii francuskiej. Układ winien więc być natychmiast ratyfikowany, choć może on być ulepszyany w przyszłości. Rozwiązania alternatywnego generał Béthonart nie widzi.

Znakomity pisarz Jules Romains odpowiedział krótko i stanowczo: uważam, że powinniśmy ratyfikować układ paryski bez zwłoki i bez zmian. Nie ma w rzeczywistości żadnego rozwiązania alternatywnego.

Również pozytywnie ustosunkował się do układu o Wspólnocie wojskowej wybitny parlamentarzysta Coste-Floret ze stronnictwa M.R.P. (Chrześcijańska Demokracja), który był referentem planu Schumana. Jego zdaniem uzbrojenie Niemiec jest nie do uniknięcia i jest potrzebne. Nie ma się bowiem do wyboru, czy zezwolić na uzbrojenie Niemiec czy nie, lecz tylko, czy to uzbrojenie dokona się z odpowiednimi gwarancjami lub bez nich. Włączenie sił zbrojnych niemieckich do armii europejskiej daje tę gwarancję. Na pytanie, czy projekt Wspólnoty obronnej wydaje się być korzystny z punktu widzenia pokoju, Coste-Floret daje charakterystyczną i godną podkreślenia odpowiedź. Stwierdza, że fakt absolutnej opozycji ze stron Związku sowieckiego przeciwko układowi o Wspólnocie obronnej świadczy dobitnie o tym, iż pakt ten stanowi ważny czynnik dla ustalenia równowagi sił

w stosunku do Rosji Sowieckiej. Siła Zachodu jest groźbą dla pokoju, zmniejszenie dzisiejszej dysproporcji sił jest dla pokoju atutem. Coste-Floret poddaje następnie krytyce możliwość wysunięcia projektów alternatywnych i wypowiada się za ratyfikację bez zwłoki podpisanych układów, których odrzucenie byłoby decydującym ciosem w ogóle dla całej akcji zjednoczenia Europy.

Również prof. ekonomii uniwersytetu paryskiego, Maurice Bye, wypowiedział się za ratyfikacją układu, m. in. podkreślając, że ze względu na ewolucję stosunków ekonomicznych integracja Europy jest procesem logicznym i niezbędnym. Odrzucenie przez Francję układu o Wspólnocie obronnej spowoduje napięcie stosunków francusko-niemieckich oraz, być może, przyczyni się do skoncentrowania „nocy amerykańskiej“ specjalnie na terenie Niemiec, co odbije się fatalnie na możliwościach ekonomicznych imperium kolonialnego francuskiego. W tych warunkach, niezależnie od wad układu, p. Bye wypowiada się za jego ratyfikacją. Również za ratyfikacją wypowiada się członek akademii francuskiej R. d'Harcourt i profesor G. Vedel.

### PRZECIWNICY UKŁADU PARYSKIEGO

Stanowczo przeciwko europejskiej Wspólnocie obronnej wypowiedzieli się generałowie i politycy z grupy gen. de Gaulle'a. Jacques Soustelle (b. minister w rządach gen. de Gaulle'a i sekretarz Zjednoczenia Ludowego Francuskiego „Rassemblement du Peuple Français“) stwierdził, że uzbrojenie Niemiec przedstawia ogromne niebezpieczeństwo; tylko wspólnym wysiłkiem zjednoczonych sił Anglii, Ameryki i Rosji Sowieckiej udało się w drugiej wojnie światowej pokonać Niemcy. Gdy tylko Niemcy będą znów suwerenne i uzbrojone, mogą znowu rozpocząć kampanię rewindykacyjną i rewizjonistyczną, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie i mogą, w razie realizacji Wspólnoty, wciągnąć również i Francję do konfliktów i walk o interesy niemieckie na Wschodzie. Następnie p. Soustelle rozwija następującą tezę: gdyby był faktem, że starcie z Rosją sowiecką jest niemożliwe, to oczywiście nie ma wyboru, Niemcy muszą być uzbrojone; lecz czy starcie to jest naprawdę niemożliwe? Rządy poprzedzające obecny rząd Mendès-France'a nie uczyniły, by się przekonać, czy współzycie pokojowe z Rosją nie byłoby możliwe, a to właśnie należy przede wszystkim zbadać. Najważniejsze jest, by Francja zachowała własną armię, gdyż stanowi to warunek niezależności politycznej, a więc i niezależności narodowej w ogóle. Drugi gaullista, również b. minister René Capitant (syn słynnego prawnika) wypowiedział się jeszcze bardziej zdecydowanie przeciwko europejskiej Wspólnocie obronnej. Zdaniem jego, uzbrojenie Niemiec mogłoby mieć miejsce tylko na podstawie porozumienia państw zachodnich ze Wschodem, tj. z Rosją Sowiecką. Uważa on za całkowicie nieuzasadnione obawy przed agresją sowiecką, a walka z komunizmem we Francji wymaga, jego zdaniem, akcji ekonomicznej i społecznej wewnątrz kraju. Capitant uważa obecny projekt Wspólnoty obronnej za spekulację niekorzystną, „gdź celem jego nie jest bynajmniej sfederowanie Europy Zachodniej, jak chcieliby mówić głupek, lecz poddanie jej „pod protektorat anglo-saski“. W ostrej dialektyce przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych p. Capitant wywodzi: „w chwili, gdy mówi się o uwolnieniu Maroka spod protektoratu Francji, nie można chcieć, by Europa postawiona została wobec Ameryki w sytuacji Maroka wobec Francji“.

Gen. de Goislard de Monsabert, b. dowódca, obecnie profesor szkoły wojennej i deputowany z grupy gaullistowskiej, motywuje swój całkowicie negatywny stosunek do europejskiej Wspólnoty obronnej względami przede wszystkim psychologicznymi. Mianowicie wskazuje, jak dalece suwerenność francuska i jej swoboda polityczna i militarne działania w imperium kolonialnym byłyby przez Wspólnotę obronną ograniczona i podkreśla, że zmiana charakteru armii z narodowej na „europejską“ ujemnie wpłynęłaby na psychologię żołnierza. Stwierdza też kategorycznie, że armia jako całość jest stanowczo przeciwna układowi paryskiemu. Zwalcza on samą zasadę federalizmu „Małej Europy“, wskazując m. in. na fakt, że Wielka Brytania, choć namawia Francję do zawiązania się z organizacją kontynentalną, sama stanowczo odmawia przystąpienia do tej organizacji. Poza „Europa Sześciu“ jest jeszcze „Europa Piętnastu“, i dalej gen. de Monsabert dodaje: „poza Europą 15 państw mamy całą Europę w ogóle, w której promieniowanie Francji było i jest jeszcze czasem żywe i skuteczne; są przecież też kraje satelickie; czy mamy je pchnąć definitywnie w objęcia i w kajdany naszych przeciwników?“

Nie można, stwierdza na zakończenie gen. de Monsabert, narzucić przez traktat przemiany wartości, dla której masa obywateli zgadza się walczyć aż do śmierci. „Europa jest celem na długą metę. Trzeba działać etapami: wspólnota interesów na przed, wspólnota nastawień psychicznych następnie, wreszcie wspólnota ideałów; wtedy dopiero, lecz tylko wtedy,

można będzie mówić o Wspólnocie poświęceń i ofiary“.

Jeszcze bardziej zdecydowanie przeciwko układowi o Wspólnocie obronnej wypowiedział się p. Pierre Le Brun, sekretarz generalny C. G. T. (Konfederacji Generalnej Pracy), największej lewicowej syndykalnej organizacji pracy we Francji. Motywy, jakie przytacza dla usprawiedliwienia swej opinii, są nad wyraz charakterystyczne. A więc na pytanie, czy do uzbrojenia Niemiec wydaje mu się konieczne, odpowiada kategorycznie nie i dodaje: „nie wierzę zupełnie w groźbę militarną sowiecką wobec naszego terytorium, naszej narodowej niepodległości i jakiegokolwiek części unii francuskiej (imperium kolonialnego). Uważam natomiast, że uzbrojenie Niemiec stworzyłoby taką właśnie groźbę dla nas ze strony Niemiec“. P. Le Brun pragnąłby ustalenia bezpieczeństwa Francji na drodze organizacji bezpieczeństwa zbiorowego, które dawniej zalecał Briand i Herriot, a którego obecnie rzecznikiem jest Molotov.

Profesor uniwersytetu paryskiego, ekonomista, F. Perroux, który w książce wydanej w tym roku („L'Europe sans Rivage“) występuje jako rzecznik uniwersalistycznej współpracy międzynarodowej, m. in. na polu działalności gospodarczej, jest zdecydowanym przeciwnikiem „Małej Europy“, Wspólnoty obronnej i uzbrojenia Niemiec. Wywody jego idą po linii koncepcji konieczności ścisłej współpracy państw zachodnich ze światem komunistycznym. Ciekawym jest jego stosunek do kwestii ewentualnej obrony Europy na wypadek agresji sowieckiej. Stwierdza on mianowicie, że broń Europy winna nie państwa słabe, państwa kontynentalne, ale Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Główną odpowiedzialność za obronę Europy, oświadcza p. Perroux, obciążać winna Anglików i Amerykanów, którzy zgodzili się na bezecny układ jaltański; wielkość ich wysiłku w obronie Europy winna być uważana przez świat cywilizacyjny jako należna od nich reparacja... Nie można się oprzeć wrażeniu, że oświadczenie to choć zawiera wiele elementów prawdziwych, jest bardziej zwrotem retorycznym niż argumentem rzeczowym.

### OPINIE POSREDNIE

Obok tych głosów zdecydowanie za lub przeciw Wspólnocie obronnej, należy zanotować opinie bardziej wycienione, na ogół jednak pozytywne. Do takich należy odpowiedź prezesa Konfederacji Międzynarodowej i Francuskiej Konfederacji Syndykatów Chrześcijańskich, Gaston Tessiera, który brał udział w pracach ONZ i międzynarodowej organizacji pracy. Zdaniem p. Tessiera, zagadnienie europejskiej Wspólnoty obronnej powinno być postawione w szerszych ramach prac bezpieczeństwa i powszechnego rozbrojenia, z udziałem wszystkich wielkich mocarstw. Najważniejszą sprawą jest ogólne rozbrojenie. Tessier cytuje szereg rezolucji konferencji międzynarodowych, stwierdzając, że użycie siły należy zastąpić przez rozwiązania prawne na podstawie arbitrażu, w oparciu o siły ewentualnej międzynarodowej „żandarmerii“, zależnej od „władzy ponad-narodowej“. Jednak w obecnej sytuacji Europy Zachodniej byłoby nierozsądnym i nawet ośmieszającym, by Francja nie ratyfikowała układów już podpisanych, mających na celu pokojową stabilizację stosunków. Toteż p. Tessier wypowiada się za ratyfikacją układów, lecz jako za rozwiązaniem prowizorycznym w nadziei, że nastaną wkrótce czasy pomysłniejsze dla „międzynarodowej współpracy i pokojowego rozstrzygnięcia sporów międzynarodowych, co jest niezbędne dla poprawy warunków egzystencji mas“.

### GŁOSY PRASY

Poza wyżej przytoczonymi wypowiedziami, znajdujemy w prasie katolickiej francuskiej szereg artykułów redakcyjnych, w których zagadnienia Wspólnoty obronnej i uzbrojenia Niemiec zostały wszechstronnie zanalizowane. A więc w „La Croix“ znajdujemy artykuł p. Joseph Folliet pod zamiennym tytułem: „Francuska psychoanaliza europejskiej Wspólnoty obronnej“. Autor daje przegląd różnych uzasadnień stosunku do układu; krytykuje przesadnie entuzjastów, którzy w rozwiązaniach europejskich widzą magiczne lekarstwo na wszystkie trudności, zapominając, że Europa może się utworzyć również i kosztem Francji i że tylko silna Francja może się na prawdę przyczynić do stworzenia „prawdziwej Europy“. Następnie wyraża się krytycznie o zbyt prostym, jego zdaniem, rozumowaniu, polegającym na tym, że skoro komuniści rosyjscy i komuniści francuscy gwałtownie zwalczają Wspólnotę obronną, to stanowi to wystarczający powód do uznania jej za korzystną i słuszną. Należy raczej zastanowić się nad samym „merytum“ sprawy i zważyć należyście wszystkie argumenty „pro i contra“. Tym bardziej jednak jest szkodziłym, jak czynią to pewne koła postępowych katolików, uzależnianie swego stanowiska od demagogicznego pragnienia przypodobania się masom robotniczym, ulegającym wpływom komunistów i „fellow-travellersów“. Autor bardzo przekonująco i słusznie analizuje, dlaczego Związek Sowiecki

śmiertelnie obawia się wywołania trzeciej siły w postaci sfederowanej Europy, a także motywy, które, w obliczu zagadnień zjednoczenia europejskiego, czynią sprzymierzeńcami skrajnych nacjonalistów i komunistów. Następnie stwierdza, że strach przed Niemcami jest obsesją podświadomości francuskiej, a szczególnie silnie zaznacza się u nacjonalistów francuskich. Przyznaje, że doświadczenia przeszłości usprawiedliwiają tę obsesję, ale zapytuje: kto dziś bardziej zagrożona Francja, czy Niemcy, czy czołgi sowieckie, stojące o parę etapów od Paryża? Jednak dla wielu, a w szczególności dla wojskowych, Niemcy są zawsze wrogiem nr 1; stąd wnioskuje: Wspólnota europejska może uzbroić Niemcy, a więc należy ją zwalczać! P. Folliet wspomina też, że pewne połączone czynniki ekonomiczne działają przeciw koncepcji integracji europejskiej, a wreszcie oświadcza, że dla wielu federacja europejska — dzieło trudu i demokracji — przedstawia niebezpieczeństwo „Europy Watykańskiej“ pod kontrolą rzymską, widmo „czarnej międzynarodówki“. Obawy te autor wyciemnia i uważa za zupełnie nierzeczowe. Na końcu swego artykułu jednak p. Folliet nie daje odpowiedzi na pytanie, co należy zdecydować? Pozostawia to decyzji każdego obywatela.

Zastępuje również na uwagę wnikiwy artykuł J. M. Ballet w „La France Catholique“ (20 sierpnia): „Co Niemcy myślą o europejskiej Wspólnocie obronnej“. Autor, po długiej podróży informacyjnej w Niemczech, podaje swoje wnioski. Choć sam nie chce się wypowiadać ani za ani przeciw układowi o Wspólnocie obronnej, podkreśla jakie poważne konsekwencje pociągnąć może za sobą odrzucenie projektu federacji europejskiej przez Francję. Dziś Niemcy gotowe są do współpracy z Zachodem i w szczególności z Francją; zmarnowanie obecnej koniunktury będzie miało daleko idące skutki negatywne, w szczególności, gdyby spowodowało załamanie się polityki kanclerza Adenauera.

### UWAGI, KTÓRE NASUWA ANKIETA

Można powiedzieć, że ankieta „La Croix“ w pewnym sensie: osiągnęła swój cel: choć nie przy „osła elementów, na których mocy mogłoby być wyrobione sobie zdanie, jaką decyzję Francja ostatecznie powzię, tym niemniej dała pełny obraz przyczyn, które powodują wątpliwości i wahania opinii francuskiej wobec projektów utworzenia federacji zach.-europejskiej. Francuzi dziś zgłębiają między Scyllą a Charybdą, między aktualnym niebezpieczeństwem sowieckim i niebezpieczeństwem niemieckim na dalszą metę. Kolejność niebezpieczeństw wymagałaby zapewne szukania gwarancji, napród przeciw agresji sowieckiej, lecz wszystkie czynniki nacjonalistyczno-konserwatywne oraz wszystkie czynniki swadomy lub nieświadomie pro-sowieckie, a nawet z francuskiego punktu widzenia „mogące być określane jako pro-rosyjskie, a także czynniki neutralizujące, no-pacyfistyczne, wysuwają dziś specjalnie na czoło odwieczne i naturalne dla każdego Francuza, całkowicie zresztą uzasadnione obawy przed Niemcami. Trudna sytuacja, w której Francja się dziś znalazła, jest wynikiem osłabienia jej mocarstwowej wagi. Lekarstwem istotnym byłoby narównanie do polityki bardziej dynamicznej i twórczej, lecz wymagającej do wielkiego wysiłku i wielkiej poświęcenia. Silna Francja „mogłaby łatwiej przystąpić do Wspólnoty europejskiej, gdyby sądziła, że będzie w niej czynnikiem kierowniczym; lub też mogłaby samodzielnie podjąć rolę mocarstwa przodującego na kontynencie europejskim. Takie decyzje widocznie jeszcze nie dojrzały. Odmowa ratyfikacji układu paryskiego nie stanowi sama przez się rozwiązania istniejących zagadnień. Świadczy ona przede wszystkim o niechęci pobierania już dziś wiążących decyzji, które by nieodwracalnie ograniczały suwerenność Francji i niezależność jej polityki w przyszłości.

F. Frankowski

## POCZTA CHILIJSKA W HOŁDZIE DOMEYKO

Z okazji 150 rocznicy urodzin Ignacego Domeyki poczta chilijska wydała dwa znaczki pocztowe wartości jedynego i pięciu pensów z napisem: „Ignacio Domeyko — 150 aniversario de su nacimiento 1802-1952“. Inicjatywę wydania pamiątkowych znaczków dali Polacy w Chile. Projekt znaczka z portretem Domeyki wykonał polski artysta-grafik Tadeusz Kowalczyk. Znaczki wyszły z dwuletnim opóźnieniem z przyczyn technicznych. Ciężko się wielką popularnością wśród filatelistów.

Ignacy Domeyko, filareta, przyjaciel Mickiewicza, uczestnik powstania listopadowego, wślwił się w Ameryce południowej nie tylko jako uczyony, ale przede wszystkim jako człowiek o niezwykłej prawości charakteru. Poświęcił on 46 lat swego życia społecznej i kulturalnej pracy w Chile. Do dzisiaj jego imię wspomina się z ciężką i szcunkiem. (IC)

## Ś.P. KARDYNAŁ ILDEFONS SCHUSTER

Dnia 30 sierpnia nad ranem, w dzień św. Róży z Limy, kiedy to Kościół modlił się, „bysmy biegnąc za jej miłą wonnością, zasłużyli stać się dobrą wonią Chrystusową“, odszedł z tego świata do wieczności jeden z największych znawców liturgii Kościoła katolickiego, ozdoba Kolegium Kardynalskiego, godny następca największych benedyktynów i godny następca wielkiego Ambrzego i wielkiego Karola Boromeusza, świętych rzadców Kościoła mediolańskiego.

Alfred Ludwik Ildefons Schuster urodził się w Rzymie w roku 1880, w dzień Katedry św. Piotra w Rzymie, 18 stycznia. W klasztorze benedyktynskim św. Pawła za Murami rozpoczął nowojazd w roku 1898, zmieniając imię na Ildefons, studia skończył w międzynarodowym benedyktynskim kolegium św. Anzelma na Awentynie, święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1904 z rąk kardynała Respighiego, wakatów generalnego św. Piusa X. Jako towarzysza i zarazem wzór miał w klasztorze św. Pawła sługę Bozego Placyda Riccardiego, o którego beatyfikację, bliską już obecnie, gorliwie zabiegał. W roku 1918 został mianowany opatem u św. Pawła i otrzymał błogosławieństwo opackie w bazylice Pawłowej, ościńskiej, z rąk kardynała Basilio Pompilięgo. W tym samym roku Benedykt XV mianował go prezesem Papieskiego Instytutu Wschodniego, a w roku 1924 z nominacji Piusa XI został prezesem Papieskiej Komisji dla Sztuki Religijnej we Włoszech. 26 czerwca 1929 Pius XI mianował opata Schustera arcybiskupem mediolańskim, 15 lipca kreował go kardynałem, a 21 lipca sam udzielił mu sakry biskupiej. 25 lat rządów archidiecezji, to okres posuniętej do ostatnich granic gorliwości arcybiskupiej według wzoru Pasterza Dobrego. Życie swe prowadził według zasad prostoty i pokory, w których wychowała go reguła benedyktynska.

Zmarły kardynał Ildefons Schuster zasłynął z wielu ogromnej wartości dzieł. Wśród nich na pierwszym miejscu należy wymienić „Liber Sacramentorum“ w osmiu lub w dziewięciu tomach (zależnie od wydawnictwa); pierwszy tom wprowadza nas ogólnie w dziedzinę liturgii Kościoła katolickiego, a dalsze tomy są, według skromnego podtytułu dzieła, objaśnieniem historycznym i liturgicznym Mszału Rzymskiego, który jest, jak autor zaznaczył we wstępie, dziełem najwznioślejszym i najważniejszym literatury kościelnej, oświetlającym najwerniej życie Kościoła, poematem świętym, do którego przylżyły twórcza rękę Niebo i Ziemia.

Drugim w ważności dziełem zmarłego kardynała jest „Regula Monasteriorum“, podająca oryginalny, łaciński, tekst reguły św. Benedykta i wprowadzenie w nią, pióra kardynała, jako też szczegółowy komentarz do prologu i każdego z 73 rozdziałów reguły. Książka napisana jest, według słów samego autora we wstępie, jako prawdziwy wylew serca i to nie tylko dlatego, że została za klasztorom towarzyszyła kardynałowi wszędzie, jak w dawnych czasach towarzyszyła świętym Grzegorzowi Wielkiemu, Bonifacemu, Grzegorzowi VII, Piotrowi Damiani, lecz także dlatego, że kardynałowi nie dawała spokoju „myśl, że księga, na której kształcił się tak wiele pokoleń oświeczonych, jest w czasach dzisiejszych poza klasztorami prawie nieznaną, nawet duchowieństwu. A wszak, jak kardynał w tymże wstępie podkreślił, po Piśmie Świętym i może po „Naśladowaniu Chrystusa“ żadna inna książka nie wywarła takiego, jak Reguła św. Benedykta, wpływu na dusze ludzkie i losy społeczeństw świeckich.“

Co się tyczy „Naśladowania Chrystusa“, kardynał Schuster ogłosił w „La Scuola Cattolica“ (rok LXVII, fasc. III, str. 273-293) pracę, w której wykazywał, że autorem „Naśladowania“ był opat Giovanni Gersenio di Santo Stefano di Vercelli (1220-1243) i może tym się tłumaczyć, dlaczego „Naśladowanie Chrystusa“ jest, jak twierdził kardynał, najpiękniejszym duchowym komentarzem reguły benedyktynskiej.

Kardynał Schuster ogłosił ponadto „Historię Bazyliki św. Pawła“, a w roku 1947 pracę o św. Benedyktynie, przeznaczając dochód z niej na odbudowę opactwa na Monte Cassino. O wielkości zmarłego kardynała świadczy ponadto jego listy pasterskie i inne prace.

Zwyczajny ukoronowaniem wielkiego i świętego żywota jest wielka i święta śmierć. Tak było i w życiu kardynała Schustera. Ostatnie dni życia spędził kardynał w seminarium duchownym swej archidiecezji w Venegono, gdzie przeżywał na odpoczynku po zaburzeniach obiegu krążenia krwi. Zdałoby się, że arcybiskup będzie już mógł porzucić do normalnych prac w zarządzie archidiecezji i dlatego, gdy udawał się na spoczynek w dniu 29 sierpnia, nikt nie przeczuwał, że za kilka godzin nie będzie go między żyjącymi. Gdy kardynał w noc pożył się 02, zażądał udzielenia „mu Wiatru i Żłata“ świętego Olejem św. Namaszczania, polecił następnie, by odmawiano modlitwy za konających i sam odpoczął, zachowując do końca przytomność umysłu i żywość wzroku. Jednym z ostatnich jego zdań było: „Proszę diecezję o przebaczenie za to, co uczyniłem, i za to, czego nie uczyniłem, i błogosławie wszystkim“ — i zrobił wielki znak krzyża. Zmarł z oczyma ukłonionymi w niebo i rękami złożonymi na piersiach.

Władysław Jelonek



W. ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI

# K A R I N I Z P A M I Ę T N I K A

Drukujemy urywki listów pisanych w obozie internowanych żołnierzy polskich w Połdże na Litwie, w jesieni roku 1939, do rodziny przebywającej w Warszawie.

Niektóre z tych listów drukowane były w polskich pismach wychodzących w Kownie, w „Dzienniku Polskim” i „Chacie Rodzinnej” oraz w litewskim „Lietuvos Aidas”, na wiosnę roku 1940.

Wrzesień, 1939.

Dzisiaj Ci opowiem, jak wychodził mi z Wilna, aby go bronić. Wypadki zaczęły się toczyć z salona szybkiego. Jakies projekty naszego przeszkolenia i ćwiczeń upadły jedne po drugim. Stało się oczywiste, że zetknięcie nasze z wojną, tą, którą znaliśmy jedynie z książek Remarque'ów i Zweigów oraz z filmów amerykańskich, nastąpiło oko w oko i to w najkrótszym czasie. Wiesz dobrze, że jedynie z tą myślą poszedłem do wojska i dlatego zapytany w „cztery oczy” przez oficera, który zatłowił formalności wstępne, czy chce „tylko do wojska” czy „na wojnę”, mogłem mu bez wahania powiedzieć, że jedynie to drugie mi odpowiada.

Pozwolono wyjść z koszar. Pojechaliśmy do stryja, aby się pożegnać. Z nastroju pogodnego, jaki w ich domu panował, nie było już śladu. Nad Wilnem gromadziły się coraz czarniejsze chmury, widoczne już dla wszystkich.

Rozmawialiśmy, zdaje się, o Paryżu, psach i innych sprawach nie mających nic z wojną wspólnego. Piliśmy poobiednią herbatę, gryząc czerstwe bułki, te najlepsze wojenne ciastka. Tykotanie zegara przypominało, że czas ucieka i trzeba wracać do koszar. Szykując się na długą wojnę w kraju, rozmieniłem w stryja 20 złotych na 20 i 50 groszówki, aby nie potrzebować kraść jajek i jabłek, co jest powszechnym zwyczajem.

Zaczęliśmy się żegnać; ciotka zawiesiła mi na szyi, na swoim srebrnym łańcuszku, ten medalik, co w dniu wyjazdu z Warszawy dał mi Ojciec Marian. W takim momencie coś chwyciła za gardło i oczy robią się wilgotne. Przeżywałem drugi raz taką chwilę, gdy Broniek przed wymarszem z koszar dołączył do tego medalika drugi, poświęcony w Ostrze Bramie. Znasz mnie i wiesz, że nie „grzeszyłem” poboznością, ale „momentów takich się nie zapomina, dla niepoznaki zapala się papierosa i mocno, mocno ścisną rękę przyjaciela.

Szykowałem się do wymarszu. Zamiat drelichów, polatane stare mundury sukienne; cała pociecha, zresztą słaba, że oddziały, które dawniej poszły na front, miały zupełnie nowe. Ja i takiego nie dostałem, nie było w całym magazynie dopasowanego do mego wzrostu. Trudno, trzeba będzie zimową wojnę rozpocząć w letnim garniturze.

Karabiny, łopatki, manierki, meznaki, koce, chlebaki, piecaki, ładownice, naboje, granaty — wszystkiego zresztą nie tyle, ile trzeba i nie takie, jakie być powinno. Ale i tak, cały ten dobytek waży przeszło 30 kilo, wszystko jednakowo ważne, wszystko jednakowo ciężkie. I właśnie dnia tego wzięto naszą siódmkę warszawskich ochotników na ćwiczenia, pierwsze prawdziwe, aby pokazać jak należy ruszać się na wojnie, kryć się, okopywać, paść, ładować karabin, celować — wszystko to w przeciągu paru godzin.

Pamiętasz, że kiedyś byłem w podchorążówce i chociaż wtedy prawie całe rano czas chorowałem, to jednak wojsko widziałem już z bliska, — co prawda, przez ostatnie dziesięć lat zupełnie z tą dziedziną nie miałem styczności, jednak jakieś niewyraźne wspomnienie pozostało. Co się tyczy moich przyjaciół, to byli wśród nich tacy, którzy pierwszy raz w życiu mieli karabin w ręku.

I wtedy przyszła ta wielka świadomość: przecież każdy z żołnierzy-kolegów, wychodzących dzisiaj na tę wyprawę, ma powieźć 30 % więcej szansa „całego” powrotu z tej wojny. Każdy z nich prędzej się podcołga i szybciej wykopie ochronę z ziemi i celniej wymierzy karabin. Po skończonych ćwiczeniach spojrzeliśmy sobie wzajemnie prosto w oczy i mocno podaliśmy sobie rękę.

Rozpoczęło się braterstwo broni. Wymarsz miał być o 6 po południu. Szykowanie się, bieganina po schodach, ustawianie na placu przed koszarami.

Deszcz zaczyna padać; taki złośliwy, drobny, siekający w twarz, weiskający się za karkiem.

Zbiórka kompanii, sprawdzanie oporządzenia przez oficerów. Stoimy tak pół godziny, trzy kwadranse, godzinę. Okazuje się, że wymarsz odłożony. W przejściu natykam się na dowódcę kompanii, który jeszcze niedawno, w ministerstwie oświaty, zajmował się sprawami wyznaniowymi.

— Niech mi Pan nie ma za złe, że czasami może dla was byłem ciężki, ale świadomie nie chciałem waszej ochotniczej siódmki wyróżniać.

— Rozumiem, poruczniku. Ścisną mi rękę mocno i dodaje: — No, od dzisiaj zaczyna się „nowe życie”, przecież wszyscy jesteśmy takim samym mięsem armatnim.

Wcześniej idziemy spać. Rzeczywiście, sen ten jest bardzo potrzebny, bo poprzednią noc kopaliśmy na podwórku koszarowym rowy, dla ochrony przeciwlotniczej.

Spi się w mundurach, butach, obok mnie na pryczy leży mój karabin.

Budzą nas o 2. Szykowanie się do wymarszu. Za oknami jest zupełnie ciemno. Kolejdy, bardziej obcy z wojskowością, pomagają mi się ubierać w te wszystkie rzemyki i sprzączki. Znowu zbiórka przed budynkiem koszarowym i tym razem wymarsz naprawdę.

Porozdzielano nas po drużynach. Jestem razem z Sewerynem, maszerujemy obok siebie, tak jak jeszcze niedawno chodziliśmy na przykład do Baro Europejskiego czy Adria.

Jestemy za miastem. Jest coraz jaśniej. Trzydzieści kilogramów obciążenia robi swoje, i o ile „pierwsze razy” są raczej trudne, to ten nasz obecny marsz całkowicie potwierdza tę regułę. Nareszcie odpocznym. Siada się w rowie przydrożnym i zapala papierosa. Po chwili maszerujemy dalej. Całe szczęście, że mamy do odrobienia tylko 5 kilometrów. W jakichś zabudowaniach zatrzymujemy się. Dowódca kompanii wyznacza plutonem zadania; nasza drużyna ma iść jeszcze około 2 km naprzód i zająć czołowe stanowiska w prowizorycznych okopach.

Zatrzymaliśmy się na wyznaczonej linii. Bardzo prowizoryczne umocnienia, wykonane przez placówkę, którą luzujemy. To nie są te rowy strzelckie, które razem widywaliśmy na filmach wojennych. Co jakies 3-5 kroków wnetki dla pojedynczych strzelców połączone ze sobą płytkim rowem łącznikowym, aby móc się przeczłapać z miejsca na miejsce.

Zatrzymaliśmy się każdy przy swojej liście jamie. Po prawej ręce mam Seweryna, po lewej jakiegoś kaprala.

ANTONI RAWICZ-SZCZERBO

## PAMIĘCI ŻOŁNIERZY BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

Pan Z. Nowakowski wybrał na piętnastą rocznicę najazdu niemieckiego na Polskę oryginalny zaiste temat do swego felietonu, umieszczonego w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” z dnia 1 września br.

Oto na podstawie książki niejakiego Amerykanina W. B. Huie'a, będącej rzekomo „bestsellerem”, a więc książką najbardziej poczytną na rynku amerykańskim, zajął się losem dezertera z armii Stanów Zjednoczonych, skazanego wyrokiem sądu polowego na śmierć przez rozstrzelanie za zbrodniczą dezercję.

Bohater felietonu p. Z. Nowakowskiego, Amerykanin polskiego pochodzenia, „o którym — jak pisze p. Z. N. — nie można powiedzieć, że ani brat ani swat nasz”, mający za sobą „amatorskie włamanie” w 12 roku życia, kradzież samochodu w pięć lat później, więzienie („No, coś tam jeszcze. W każdym razie nie zbrodniarz!”), powołany do wojska „nie chciał służyć; przede wszystkim nie chciał zabijać”. Powód? „Musiał mieć naturę delikatną i bardzo, bardzo dobra”. „Nie zabiłby nawet muchy.”

W Belgii, oszabowanej przez sprzymierzonych, przy boku których i nasza dywizja pancerna miała swój chwalebny udział, ratuje przed samostanem „rozjuszonego tłumy” zestrzelonego lotnika niemieckiego, którym zajął się „serdecznie”, „opiekował się jak nianka”, opychając go papierosami „tak, że ów lotnik mógł dostać zatrucia nikotyną.”

Schwytany na dezercji, ten „człowiek z innej gliny”, z gazetami i łacownicami zamiast amunicji „nie okazał skruchy, zapowiedział, że zdezerteruje po raz drugi. Nie chce biec się. Kropka.” I tak dalej i tak dalej, aż wreszcie „jako katolik zginął pod kulami plutonu egzekucyjnego”.

Doswiadczony aktor nie mógł oprzeć się pokusie zastosowania efektownego „chwytu” końcowego, w którego wyniku nieszczęsny Słowik urasta w opisie sceny egzekucji niemal do wielkości „starego kaprala” z arii Moniuszki. Analogia — powiedzmy sobie — najzupełniej niewłaściwa. Oczywiście, że „sąd wojenny nie przebacza”. Autorem felietonu nie chodzi chyba o podniecenie myśli, że jakieś uboczne względy czy ukryte a tendencyjne pobudki spowodowały, iż gen. Eisenhower wyrok zatwierdził i na skutek tego z „dziesiątków tysięcy” dezertorów amerykańskich tylko ten jeden „Polak” i „katolik” został rozstrzelany?

Czy można poza tym dopatrywać się analogii — oprócz zewnętrznego podobieństwa sceny egzekucji — w istocie podobieństwie i czynów, które doprowadziły do tego samego końcowego finału?

Między bohaterem amerykańskiej książki, skamiącym o łaskę, „bo ma żonę i matkę” i dowodzącym, że nie jest tchórzem, bo „miał sposobność poddania się Niemcom, a tego nie zrobił”, a „starym kapralem”, „le vieux sergentem” z piosenki Berangera, jest różnica istotna. Nie rozdwać się szerzej, różnica chociażby w postawie moralnej w obliczu nieuniknionej śmierci.

Bohater sensacyjnej książki XX wieku prosi przez księdza żołnierzy, „by strzelał prosto, tak abym nie cierpiał”. Można nad nim nie mieć ludzką litość, jak nad słabym człowiekiem nie dorosłym do wielkości obywatelstwa. Stary wiarus z porwijającej

piosenki francuskiej XIX wieku, weteran spod orłów napoleońskich, który w obronie spowieńwień h o n o r u o osobistej placu życia za złamanie dyscypliny, woła do młodych żołnierzy: „Strzelać prosto!” Nie po to jednak, by nie cierpieć, ale by nie drgnęła młoda ręka, która rzuca na śmierć zadać, był tak samo odważny, jak ten oto, co ze śmiercią spotyka się po raz ostatni, choć już nie raz w oczy jej zaglądał. Nie zdziwilibyśmy się odruchowi dowódcy plutonu egzekucyjnego, by nad trupem tego wiarusa sprezentować brzo.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy umierał ten kapral z cieniem, nieco ponad wiek temu, inni starzy wiarusi — już nie fikcyjni — padali ofiarami tragedii, wynikającej z nierozwiązanego konfliktu między obrońcą honoru a łamaniem dyscypliny, który tenże sam honor bronić kaze. Znieważeni przez carskiego satrapę a ich naczelnego wodza na Placu Sankim w Warszawie, przebijali się na szablach...

Były to czasy (i na Boga! chyba jeszcze są!), gdy pewne pojęcia wrastały w pokolenia „z mlekiem matki” i krzepiły, podsycając żywym słowem i czującym się słowem drukowanym.

Dzisiaj dezertor staje się głośny „w prasie np. francuskiej, niemieckiej, szwajcarskiej itp., nawet w hiszpańskiej, a to i oczywiście amerykańskiej” — jak informuje nas p. Z. Nowakowski. Jest bohaterem (o ironio!) książki, i to nie „romansu detektywistycznego, ale rzeczy udokumentowanej bardzo oficjalnie”, z analizą „trzystu siedemdziesięciu sześciu” listów skazanych, stanowiących — jak zapewnia p. Z. N. — „zbiór niezwykły”. „Może ich było więcej, może część zaginęła?”

I, żeby nie zostać w tyle za prasą „światową”, Z. Nowakowski z patosem

wprowadza amerykańskiego dezertera na łamy prasy polskiej.

Książka „Polscy spadochroniarze” nie jest oczywiście „bestsellerem”. Wydana pięć lat temu, jest zbiorowym pamiętnikiem polskich żołnierzy, którzy w ostatniej wojnie światowej spełniali swój obowiązek żołnierski w Brygadzie Spadochronowej, formacji, która zapoczątkowała poza Krajem w Polskich Siłach Zbrojnych nowy rodzaj wojska: desantu powietrznego, i która — właśnie 10 lat temu — zdała swój pierwszy egzamin bojowy na polu bitwy pod Arnhem.

Pa pamiętk ten, o którym dopiero co wspomnieliśmy, zarówno swoją szatą graficzną jak i treścią ujmę książkę polskiej na obczyźnie nie przynosi. Przerzucamy karty utrwalonych w czcionkach wspomnień żołnierskich, prostych, bez patosu: o drogach, którymi szli do Brygady, jak się szkolili i mozolili, nabierali doświadczeń w nowych formach walki, jak się bili w Holandii pod Arnhem i co wreszcie robili w Niemczech, słowem — o dziwnych przygodach na lądzie, wodzie i w powietrzu.

Zatrzymamy się nad jedną ze stron. Czytamy:

„W tym dniu (22. 9.) zginął por. Richard Tice, Amerykanin, oficer polskiej Brygady, który już w czasie lotu przeznaczył swą śmierć. Około godz. 15.00, na kilkaset metrów od stanowiska jego plutonu, wyszła tyraliera. Niektórzy żołnierze byli zdania, że są to Niemcy. Porucznik był jednak przekonany, że to nasi żołnierze zbierają sprzęt z ładowiska. Tyraliera doszła na około 300 kroków i wówczas z tyralier rozlega się głos: „Don't shoot, don't shoot.”

„To nasi, Amerykanie” — cieszy się porucznik. Żołnierze jego jednak nie są jeszcze przekonani. Porucznik postanawia, dla sprawdzenia, dopuścić tyralierę bliżej. Już idą — słychać ich kroki. Nagle... tyraliera pada i otwiera ogień. Pluton ostrzeliwuje się. Porucznik wydaje rozkaz: „Wycofać się pojedynczo ku farmie”. Pozostaje tylko sam ze starszym strzelcem K. Gredekim i lkm'em. Lkm uszkodzony, po chwili milnie i załoga, ostrzeliwując się z pistoletów, wycofuje się. Por. Tice wyskakuje ze stanowiska, kładzie się obok jabłoni i strzela do Niemców ze Stena. Pada jednak, przeszły kilka kulami.”

(Richard Kresge Tice, obywatel Stanów Zjednoczonych, zgłosił się ochotniczo do służby w szeregach 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej pod koniec 1942 roku. Szybko nauczył się nowego języka. Zakwalifikowany do brygadowej szkoły podchorążych, ukończył z bardzo dobrym wynikiem r. 1943. Jako podporucznik i dowódca plutonu wyładował 21. 9. 45 z pierwszym rzutem Brygady Spadochronowej pod m. Driel (na pld. zach. od Arnhem) w Holandii. Zginął następnego dnia. Pochowany na cmentarzu w Oosterbeek pod Arnhem razem ze swoimi polskimi kolegami.)

Czytamy dalej: „Ginie też przy obsłudze radiostacji pchor. Zbigniew Krukowski. Mając lat 16 został deportowany z matką do Rosji. Przeżywszy tam piekło, dotarł do Anglii. Matka pozostała w A-tryce. W Anglii otrzymał od niej listy z dziwnymi znakami pocztowymi. Gdy czytał je, w oczach jego widywano łzy. W akcji znalazł się na wysuniętym stanowisku. Nieprzyjaciel skierował na nich celny ogień. W tym czasie trzeba było uruchomić radiostację. Pchor. Krukowski, nie zważając na ogień nieprzyjacielski i na ostrzeżenia kolegów, wysunął się z okopów i rozpoczął pracę. Spełniał uciwicie swój obowiązek żołnierski. Przy tej pracy spotkała go śmierć. Wybuch pocisku artyleryjskiego rozszarpał jego ciało. Twarz jedynie pozostała nienaruszona, spokojna, kamienista, z zamkniętymi oczyma. Może na chwilę przed śmiercią, gdy świst pocisku obwiesił mu kres wędrowny, zamknął oczy, by jeszcze raz w skupieniu i dokładnie uprzytomnić sobie obraz matki, która na skwarnym afrykańskim czarnym lądzie czekała na syna.”

Tak oto, 10 lat temu, zginęło dwóch żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, polskich spadochroniarzy. Jeden z nich — nasz brat, drugi — rzekłoby się „ani brat ani swat”. Obaj jednak droży i niezapomniani. Nie głośno o nich w prasie światowej. Nie zrobili nic sensacyjnego. Z dwóch krańców świata, z dala od swoich stron rodzinnych, znaleźli śmierć żołnierską nad Renem, jeden — w drodze do swej Ojczyzny, drugi — towarzysząc mu wiernie.

Mój Boże! Iluż takich Zbyszkom i Ryszardom, chłopakom o złotych sercach, kazałeś spocząć na zawsze, przed celem! Fiat voluntas Tua!

Bracie i Siostro! Gdy wstąpił Bóg do Boga o spokój dusz Polaków i Polek, poległych i zmarłych w walce o Polskę, pamiętaj o Ryszardzie Tice. Przez krew przelaną stał się naszym bratem. Zginął z honorem: dobrowolicznie przyjęty na siebie obowiązek spełnił do końca.

Wierzymy, że nasz apel o pomoc dla inwalidów znajdzie zrozumienie i spotka się z poparciem całego społeczeństwa polskiego.

Wierzymy, że nie będzie ani jednej osoby, która by chociaż skromnym datkiem nie przyczyniła się do przysięgi z pomocą najbardziej potrzebującym, a dziś żyjącym w zapomnieniu byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych — inwalidom.

Zarząd Główny Związku Inwalidów Wojennych P.S.Z.

Antoni Rawicz-Szczerbo

Wierzymy, że nie będzie ani jednej osoby, która by chociaż skromnym datkiem nie przyczyniła się do przysięgi z pomocą najbardziej potrzebującym, a dziś żyjącym w zapomnieniu byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych — inwalidom.

Wierzymy, że nie będzie ani jednej osoby, która by chociaż skromnym datkiem nie przyczyniła się do przysięgi z pomocą najbardziej potrzebującym, a dziś żyjącym w zapomnieniu byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych — inwalidom.

Wierzymy, że nie będzie ani jednej osoby, która by chociaż skromnym datkiem nie przyczyniła się do przysięgi z pomocą najbardziej potrzebującym, a dziś żyjącym w zapomnieniu byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych — inwalidom.

Wierzymy, że nie będzie ani jednej osoby, która by chociaż skromnym datkiem nie przyczyniła się do przysięgi z pomocą najbardziej potrzebującym, a dziś żyjącym w zapomnieniu byłym żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych — inwalidom.

„Zdejmujemy oporządzenie i wskakujemy do naszych dołów. Oczywiście są za płytkie i niedopasowane, trzeba je koniecznie pogłębić. Ładuję karabin i delikatnie układam go przed sobą, tak delikatnie, aby nawet ziarenko piasku nie dostało się do komory naboju, bo może właśnie od tego ziarenka piasku wiele będzie zależeć.

Zdejmuję płaszcz i zanurzam łopatkę w miękkim, złotym piasku. Jest tak sypek, że robota, mimo pozorów łatwości, jest żmudna. Dół jest i za wąski i za płytki. Trzeba też poszerzyć oparcie pod lokcie, aby czuć się jak najwygodniej i móc celować najlepiej. Po godzinie roboty jest już prawie dobrze.

Kurabin leży przede mną, wycelowany w nieznane. Plecak i całe oporządzenie jest ze mną, bo dół ten jest domem moim i ma mnie chronić od nieprzyjacielskich pocisków. Seweryn też już jest gotów i staje w swym wykopie przy karabinie. Palimy papierosy i rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o tym, co dziś jeszcze może nastąpić. Robota nie jest jednak skończona. Trzeba poszerzyć rów łącznikowy, tak, ten odcinek koło mego dołu jest stanowczo za wąski.

Zjawia się jakiś oficer i zachęca do roboty: — Chłopcy, przecież to robicie dla siebie. Nie trzeba tego powtarzać. Każdy doskonale rozumie, że robi to dla siebie i że może od jeszcze jednej łopatki piasku będzie zależało życie. Teraz trzeba zająć się maskowaniem pozycji. Rowy nasze biegają wzgórzem przez pole pokryte łubinem. Wyrwam garściami długie łodygi, aby je „zasadzić” przed moim wykopem. Wszyscy bawimy się w „ogrodników”, na kolanach posuwam się powoli wzdłuż mojego odcinka, troskliwie wtykając grube łodygi w rozrzuconą przed rowem ziemię. Potem idę kilkanaście metrów niżej, aby się zorientować, czy maskowanie jest dostateczne. Rzeczywiście, nic nie widać. Dobre łodygi kryją nas przed okiem zbliżającego się nieprzyjaciela.

Może trochę Seweryna „niejsce jest za widoczne. Zapędzam go do roboty: — Ej, panie adwokat, to nie sąd, z prawej strony trzeba więcej łubinu zasadzić.

Nareszcie wszystko jest gotowe. Robimy „cercle towarzyski” w rowie łącznikowym. Palę się papierosy i rozmawiam oczywiście o swoich rodzicach. Jeden z chłopów białoruskich dopiero jest miesiąc po ślubie, kapral spod Warszawy kłopotce się, że za mało pieniędzy zostawił żonie, ktoś mówi o swoich dwóch synkach, a ja myślę o Was, Kochanych, których zostawiłem w Warszawie i od których jeszcze od wyjazdu nie miałem wiadomości.

Jest 4 po południu. Sierżant zbiera nasza drużyna i prowadzi do chaty, odległej o kilkadziesiąt kroków od pozycji. Tam się ogrzejemy, bo chociaż w wrzesień jeszcze, ale dzień jest wyjątkowo chłodny i będziemy czekać na obiad, który nam się słuszenie należy. Oczywiście, wysłane są patrolki na zwiady oraz wystawione posterunki alarmowe.

Tak rozpoczyna się „moja” wojna i pierwszy dzień frontu.

Była godzina może 6, może 7 wieczór. Siedzieliśmy w opuszczonej cha-

cie, grzejąc się przy ogniu. W rowach strzelckich pozostali inni, nasza drużyna znajdowała się w odwodzie. Tylko posterunki alarmowe czuwały. Zupelnie nieoczekiwanie zaczęły dochodzić artyleryjskie wystrzały, co dziwniejsze, działo się to wszystko za naszymi plecami.

„To na wiwat, bo podobno Hitler prosił o pokój, gdyż Ameryka przystąpiła do wojny.” Tak mówili jacyś przechodzący pobliskim traktem ludzie. Różni się dziwny nastrój w izbie. Tak, to na pewno już po wojnie! Strzały są coraz częstsze. Sierżant podchorąży bierze mnie pod rękę i wyprowadza z izby.

Niech pan tylko żołnierzom tego nie mówi, ale bolszewicy są już w Wilnie, przed chwilą był tu goniec z meldunkiem — czekam tylko rozkazu, aby się stąd wycofać i połączyć z naszą kompanią.

Spoglądamy na siebie, tam jest Wilno. Od miasta bije luna światła. Wygląda to jak olbrzymi pożar — nie pora przecież na iluminację. Na granatowym niebie ukazują się kolorowe gwiazdy artyleryjskich rakiet; zaczyna się jakiś tragiczny festyn. Wracamy do chaty, żołnierze już nie żartują, rozumieją, że to nie koniec wojny. Wszyscy pakują swe plecaki i chlebaki. Zbliżam się do wielkiego pieca, zajmującego pół izby i w migocącym świetle repetyuję rewolwer. Nasze karabiny są już dawno gotowe.

Wbiega zdyszany goniec, trwa to wszystko szalenie krótko. Nasz mały oddział jest gotów do wymarszu.

— Chłopcy, trzymajcie się mocno, musimy połączyć się z kompanią, a tam — sierżant wskazywał na gore-

ce nad Wilnem niebo — są już bolszewicy.

Robi się coraz ciemniej. Maszerujemy dwójkami, sierżant przynagla; musimy koniecznie połączyć się z oddziałem. Taka grupka osiemnastu ludzi rzucona w ciemną noc jest zupełnie bezradna. Marsz jest coraz szybszy. Nikt słowa nie mówi. Czasem zabrzęczy manierka zrzucona niebacznie kolbą karabinu. Z oddali wylaniają się zabudowania, gdzie pozostała nasza kompania z dowódcą. Jeszcze parę szybkich kroków i zatrzymujemy się w gospodarskich oplotkach. Sierżant melduje nasz powrót i zarządza odpocznym. Najlepszym odpocznikiem jest papieros zapalony w gronie przyjaciół. Nie jest już nas tylko dwóch, ale cała nasza ochotnicza siódemka, która została rozrzucona po kompanii. Zresztą oni zajęci są pakowaniem plecaków, a tylko my z Sewerynem jesteśmy „wygrani”, możemy paść spokojnie papierosy, jeden po drugim.

Robi się coraz ciemniej. Armaty strzelają za naszymi plecami, nie wiadomo w jakim kierunku. Czekają się nie wiadomo na co.

Kompania jest uszykowana, gotowa do wymarszu. Polecono raz jeszcze sprawdzić, czy karabiny są naladowane. Stoimy w dwuszeru. Nadbiega jakiś zziębnięty żołnierz i coś melduje dowódcy. Po chwili ustawiamy się w czwórki i maszerujemy w stronę szopy prowadzącej z Wilna do Mejszagoły. W czwórkach panuje cisza, przerywana jedynie chrzęstem rzemieni. Ktoś potknął się o kamień i zaklął głośno. Gdzieś zderżyły się dwa karabiny o siebie. Marsz jest forsowny. Musimy się jak najprędzej znaleźć na trakcie, gdyż poza tą ogólnikową wskazówką, dowódca kompanii nie dostał żadnych dyspozycji.

Dobrześliśmy do traktu. Dowódca zatrzymuje kompanię. Stoimy w dwuszeru. Z rozkoszą zadowolenia wysłuchano komendy: „Spocznij”. Chociaż tego marszu było zaledwie 3 - 4 kilometrów, ale tempo i obciążenie, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni, dało się już odczuć. Nie wolno jednak zdejmować plecaków, prawym łokciem podnosząc go ku górze, chcąc trochę rozprostować plecy.

Za nami jest Wilno, od którego bije luna światła. Od miasta w kierunku Mejszagoły posuwa się czarny wąż samochodowy.

Jadą też wozy sanitarne. Czyżby to było już tylko rannych? Zza niemiarkniętych drzwi samochodu oparzonego znakiem czerwonego krzyża dobiegają jakieś głosy kobiece. A może to jednak sanitariuszki?

Jadą ciężarowe samochody, wyładowane pod niebo. Jak się okazało potem, były to nowisienkie mundury, których nigdy nie mogliśmy dostać. Psia krew, a tu człowiek płać za to piachach, błocie, wkopywał w wilgotną ziemię w swoim drelichowym ubraniu.

Sciesniamy się w brzegu szosy, aby dać możliwość przemaszerowania jakimś oddziałowi. Pewnie są to jacyś szpitalnicy czy ozdrowieńcy, bez karabinów, z tobolkiem, mają raczej wygląd ludzi spieszających się na pościąg, aniżeli żołnierzy.

Teraz jedzie oddział kawalerii. Z wrodzoną niechęcią do piechoty, konie nie zważając na nas, starają się iść jak najszerzej drogą. Wywiązuje się ostra wymiana słów. „Gdzie to ułanom tak pino, macie konie, zdążycie...”

Srodkiem drogi biegnie żołnierz, wolać: „Czy to 9 kompania?” — Tak to my. Wreca jakiś papierek dowódcy. Mamy maszerować do Mejszagoły i tam czekać rozkazów, ale jeszcze za chwilę, najpierw trzeba przepuścić przed sobą tabory dywizyjne. Posuwają się powoli bryki, wozy i wozeczki, otoczone bezładnymi grupami ludzi. Ale w końcu i oni mijają. Krótka komenda i ruszamy z miejsca. Jest tak ciemno, że nie widzę maszerującego przede mną kolegi. Obok mnie, z jednej strony mam Seweryna, z drugiej Bronka, który chociaż był w innej drużynie, idzie koło mnie.

I właśnie wtedy ktoś zaimponował: „Jeszcze Polska nie zginęła”, nie był to jednak ten sam hymn, grany na paradach, czy śpiewany na najroźniejszych uroczystościach. Pieśń nabierała mocy, nie mógł jej zgłuszyć ani wiatr, ani stukot wozów taborowych, ani ryk syren samochodów spieszących za granicę.

Deszcz zaczyna padać. Odpłnam haftki żołnierza, a otwarte usta starają się złapać parę ożywych kropel wody.

Deszcz pada coraz większy. Maszerujemy tak bez odpoczynku pewnie już z dziesięć kilometrów. Do normalnego ciężaru obciążenia dochodzi ciężar płaszcza nasiąkniętego wodą.

Co raz słychać jakiś stukot, to żołnierze wyrzucają różne przedmioty. Teraz każdy gram ma swoją wagę. Odrywam się od Bronka: „Broń Boże, nie żegnaj się z łopatką, bo ona teraz bardzo się jeszcze przydać może, przecież w Mejszagołę będziemy się bronić, tam ma być linia oporu”.

Jeszcze kilometr, jeszcze... A co by potem, tego opowiadać Ci nie będą. To jest za świeże i za bolesne.

Karabin rzucony na stos wszelakiej broni nad granicą ma taką samą wagę, jak żołnierz umierający na polu bitwy, a znak krzyża świętego i iza splwająca po wyniszczonym i zabrudzonej twarzy piechura czasami oznaczają największą tragedię.

## MIESIĄC INWALIDY

Każdego roku w okresie „Miesiąca Inwalidów” w dniach od 15 sierpnia do 17 września zwracamy się do Was z gorącą prośbą o pomoc materialną dla b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych — inwalidów.

Pomoc Wasza pozwala nam na częściowe zaspokojenie potrzeb najbardziej potrzebujących, niezdolnych do pracy zarobkowej.

Czy wiecie, że poza granicami Kraju pozostało 8 tysięcy b. żołnierzy P.S.Z. — inwalidów?

Czy wiecie, że na terenie Wielkiej Brytanii przeszło tysiąc inwalidów przebywa stale w szpitalach?

Czy wiecie, że ponad 1.500 inwalidów jest niezdolnych do pracy zarobkowej?

Czy wiecie, że inwalidzi polscy w Niemczech, Francji, Włoszech i innych krajach w liczbie około 1.500 znajdują się w bardzo ciężkiej, a często beznadziejnej sytuacji?

Około 4 tysiące inwalidów wymaga stałej pomocy materialnej. Jeśli udzielić każdemu z nich tylko £ 2 zapożyczyć rocznie — wyniesie to już £ 8.000.

Związek Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych: jest jedyną organizacją zajmującą się całokształtem opieki nad inwalidami wojennymi bez względu na formację wojskową z jakiej pochodzą; — prowadzi szeroką działalność opie-

kuńczą, obejmując nią również inwalidów w Kraju i ich rodziny; — udziela pomocy materialnej w formie zapomóg, pożyczek, lekarstw, o dzieży, porad, otaczając opieką każdego inwalidę.

jest organizacją zalegalizowaną pod Charity Act, kontrolowaną przez czynniki brytyjskie i polskie; — spełnia rolę państwa w dziale opieki nad byłym żołnierzem-inwalidą.

Od Was,



# Z Y C I E

## KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 19 września 1954

### NASZE SPRAWY

## MAŁŻEŃSTWA MIESZANE

Bez względu na to, cokolwiek byśmy o tym mówili, jest faktem, że wielu Polaków żeni się z cudzoziemkami. Możemy nad tym boleć, możemy w pewnym zakresie temu przeciwdziałać, możemy starać się, przez ułatwianie zetknięcia Polaków z Polkami, liczbę tych małżeństw mieszanych zmniejszyć do osiągalnego minimum, ale nie usuniemy tego zjawiska w całości. Zjawisko to ma przede wszystkim przyczynę statystyczną: Polaków jest na emigracji dużo mniej niż Polek, a więc żon-Polek dla Polaków nie starczy. Ale nawet gdyby tej przyczyny statystycznej nie było, małżeństwa mieszane byłyby nieuniknione.

Małżeństwo jest rzeczą bardzo osobistą; wielu ludzi żeni się z rozsądku, ale wielu po prostu dlatego, że się zakochali. A łatwo się zakochać z cudzoziemką, skoro się stale wśród cudzoziemców przebywa, skoro koleguje się z Angielkami na ławie uniwersyteckiej, czy w pracy zawodowej, czy w miejscu zamieszkania, czy choćby przy zabawie. Oczywiście, są wypadki, gdy zakochać się nie wolno; to znaczy, gdy trzeba umieć rodzaje się uczucie w sobie złączyć.

Tam, gdzie jest wahanie, gdzie są wątpliwości, rada musi być stanowcza: z cudzoziemką się nie żenić. Nie można jednak dać tej rady wszystkim. To zależy od okoliczności, od osoby, która wchodzi w rachubę, a wreszcie od siły uczucia, no i od widoków na to, że małżeństwo będzie szczęśliwe i uczciwe. Ostatecznie, lepiej jest ożenić się z wartościową, szlachetną cudzoziemką, niż nie ożenić się wcale.

Zjawisko małżeństw mieszanych polsko-angielskich już istnieje i faktu tego nie zmienimy. I zjawisko to, czy widać, czy nie chcemy, będzie się powiększać i w przyszłości. Nie możemy więc ustosunkować się do niego jak do faktu, którego być nie powinno i który wobec tego ignorujemy. Nie możemy przekreślić ludzi zjawiskiem tym objętych. Musimy uwzględnić szczególne warunki ich życia i sytuacji i ceniąc ich nie na podstawie tego, że uczynili krok, którego wolelibyśmy, by nie uczynili, lecz na podstawie tego, jak się zachowują w ramach położenia, w którym się znaleźli i którego zmienić nie mogą.

Można przyjąć, że etyka narodowa nie zaleca żenić się z cudzoziemkami, lecz z tego nie zabrania. Tak samo etyka katolicka nie zaleca żenić się (po dopełnieniu wymaganych przez Kościół warunków) z protestantkami, ale tego nie zabrania. Natomiast można ściśle określić, jakie wymagania zarówno etyka katolicka, jak etyka narodowa stawiają temu, kto w mieszany związek małżeński wstąpił.

Polak, który się żeni lub ożenił z cudzoziemką, musi pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że jest Polakiem, że jest głową rodziny, że żona w rodzinie winna iść za mężem, że w specyficznych warunkach emigracji politycznej, a nie zarobkowej nasze obowiązki narodowe są szczególnie wielkie, i że, w sumie, obowiązkiem jego jest nadać swej rodzinie charakter polski, wychować dzieci po polsku, nauczyć żonę polskiego języka i przyciągnąć ją do polskości. Po wtóre, że jego narzeczoną czy żonę jest żywą istotą, a nie bryłą gliny, którą można dowolnie lepić, a więc że pracując nad zbliżeniem jej do naszego świata, społeczeństwa, kultury i ducha, trzeba zachować maksimum taktu i delikatności.

Trzeba urabiać swą żonę delikatnie, ogłębnie i z takttem, ale trzeba ją urabiać. Trzeba dać jej do zrozumienia, iż rodzina nasza musi być rodziną polską. Ona zapewne Polką się nie stanie. Ale dzieci muszą być Polakami. To musi być postawione jasno. Oczywiście, jeszcze jasniej musi to być postawione w dziedzinie religijnej. Jeżeli żona nie jest katoliczką.

Pierwsza rada, którą trzeba dać temu, co wstąpił w związek mieszany, jest, że najłatwiej najważniejsze rzeczy osiągnąć na początku, gdy zapal nie ostygł i gdy — rzecz bardzo ważna — żona ma dużo czasu, bo jeszcze nie narodziły się dzieci. Wtedy można najłatwiej dać jej teoretyczne podsta-

wy znajomości języka, wtedy także można najłatwiej pokierować jej lekturą. Z drugiej strony, należy także pamiętać, że na nic w życiu nie jest nigdy za późno; nawet po wielu latach można żonę nauczyć języka, którego nie umiała czy nie chciała się nauczyć wcześniej; nawet po wielu latach można ją nawrócić na katolicyzm. A wytrwały, systematyczny, dyskretny wysiłek daje owoce czasem dopiero po upływie długiego czasu. Znam jedną Szkołkę, która wyszła za Polaka, która 10 lat temu zupełnie stanowczo nie chciała się uczyć po polsku, a jednak dziś wszystko rozumie i sporo mówi. Przyszło to jakoś samo, przez osłuchanie się. Ale bo też małż się do tego, by się widywać z Polakami i przy żonie rozmawiał z nimi po polsku.

Osią zagadnienia narodowego jest zagadnienie języka. Trzeba żonie od samego początku pewne rzeczy wytłumaczyć. Trzeba jej powiedzieć, że się Polak i język polski kocha. Można jej wierzyc lub nie wierzyc, że Polska to wielka rzecz, wielki naród, wielka oryginalna cywilizacja. Ale musisz w każdym razie zrozumieć jasno: że ja do Polski należę. Tak samo moi rodzice mogą ci się podobać czy nie podobać; ale nie możesz tego zmienić, że to są moi rodzice i że ja ich kocham. Jeśli nie chcesz rozdzielić w naszym życiu, zrobisz najrozsądniej, jeśli także postarasz się swoich rodziców pokochać. To samo jest z językiem: wiedz o tym, że ja po polsku mówię, modlę się, czytam, rozmawiam z przyjaciółmi — i tego nie zamierzam. Musisz się z tym co najmniej pogodzić. Gdy widzisz, że rozmawiam lub czytam po polsku, musisz to znosić z tolerancją. Byłoby jednak lepiej, gdybyś w tym uczestniczyła. Jeśli nie polskos polskiego języka, cała rodzina i ważna dziedzina życia twego męża jest dla ciebie zamknięta i niedostępna. Jeśli chcesz w życiu twego męża uczestniczyć w pełni, musisz poznać język.

Języka trzeba się od razu uczyć od podstaw. To znaczy kupić sobie podręcznik i uczyć się systematycznie, dzień po dniu, przyswajając sobie sł-

wka, reguły gramatyczne i zwroty. Oczywiście maż popełniłby wielki błąd, gdyby zmuszając żonę do nauki, przeciągał w tym stronę, budząc jej zniechęcenie i opór. Byłoby to niemal to samo, jak zmuszanie żony do picia kwaśnego mleka, którym się ona brzydzi. Miłość i uczucie taktu winny dyktować granicę: tego mogę i powinienem wymagać, a to byłoby za dużo.

Trzeba koniecznie pokierować lekturą żony. Lektura jest doskonałą drogą do poznania młostwa rzeczy, których się nie wie. (Jaka szkoda, że tak trudno jest w Anglii o „Trylogię” Sienkiewicza! Nie ma jej w handlu, mają

ją tylko niektóre biblioteki. A jako to dobra droga do poznania Polski! Nawet lepsza, niż „Pan Tadeusz”). Lektura jest rzeczą ważną, zwłaszcza gdy chodzi o dziedzinę religii. Żonie protestantce trzeba systematycznie dawać do czytania katolickie książki angielskie, których jest mnóstwo i świetnych. Nie trzeba religii mieszać z narodowością. Zrobmy z żony najpierw katoliczkę angielską; to będzie z pewnością duży krok na drodze do zrozumienia polskości.

Ponadto... Ba, ale to wszystko, co ponadto, powiem chyba innym razem.

POLONUS

### LISTY

## POLSKI SŁOWNIK NAUKOWY

Szanowny Panie Redaktorze!

Poruszona na końcu listu ks. R. Zaniewskiego sprawa polskiego słownika naukowego jest problemem tak zasadniczym, że nie chciałbym pozostawić jej bez odpowiedzi. A czuję się tym bardziej upoważnionym do tego, że przez dwadzieścia lat niepodległości brałem czynny udział w tworzeniu polskiego słownika technicznego w mojej wąskiej specjalności i tym samym mam pewne pojęcie o ogólnych tendencjach, jakie panowały w tej dziedzinie.

Otóż tą zasadniczą tendencją było zastosowanie nazw polskich a nie obcych, wszędzie tam, gdzie to było możliwe. A więc „arobina”, nie „molekula”, „dobór”, a nie „selekcja”, „całka” a nie „integral”, „różnicza” a nie „diferencja” itp.

W przeciwieństwie do tego, rosyjskie słownictwo naukowe stosuje nazwy obce bez różniczenia, nadając im tylko końcówki rosyjskie. Ta polskosc polskiego słownika naukowego i jego niewątpliwie piękno były zawsze słą w oku sowieckiego okupanta. Już w czasie pierwszej okupacji Ziemi Wschodnich w 1939 roku, w podręcznikach, wydawanych w języku polskim, zaczęto zastępować nazwy polskie nazwami „międzynarodowymi” — przeważnie w ich rosyjskiej odmianie. Czytałem nawet w miesięczniku, wydawanym w tym czasie przez Wandę Wasilewską i Boy'a (nie pamiętam już dziś jego nazwy) „ideologiczne” tego uzasadnienie: chodziło o wypełnienie „polskiego szowinizmu”.

Ta sama akcja odbywa się obecnie w Polsce. Czytając prasę i podręczniki naukowe, wydawane w kraju, widac coraz wyraźniej, jak słownictwo polskie zastępuje się nazwami niepolskimi, lub też nazwy obce, dawno już w Polsce zadomowione, nazwami rosyjskimi. W jednej z prac na temat fizyki spotkałem nawet rosyjską nazwę „wieszczstwo”, zamiast od wielu już lat stosowanej w Polsce „substancji”.

Oczywiście, akcja ta idzie powoli, nieomal nieopstrzeżenie, przy dużym oporze zwłaszcza uczonych przedwojennych. Toteż od czasu do czasu spotyka

się i doskonale nowotwory, zupełnie zgodne z duchem języka polskiego.

Cóż więc w tych warunkach ma czynić polski pisarz na emigracji? Czy stosować ślepo słownictwo krajowe w postaci „zatwierdzonej przez (reżymowe) ministerstwo oświaty pisowni polskiej z r. 1949”, jak to pisze ks. Zaniewski?

Stanowczo nie! Zdaniem moim, polski pisarz emigracyjny powinien stosować polskie słownictwo przedwojenne tam, gdzie tylko może, nowotwory krajowe, jeśli odwołują one do duchowi języka polskiego, a w ostateczności tworzyć słownictwo własne. W żadnym jednak wypadku nie powinien on ślepo stosować reżymowych ruscyzmów, nawet jeśli są one pochodzenia łacińskiego.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jest to rzecz bardzo trudna, zwłaszcza jeśli mieszka się — jak ks. Zaniewski i ja — w miejscowości, gdzie brak obszernych polskich bibliotek. Tym nie mniej jednak sądzę, że jest to rzecz warta zachodu.

Dr Tadeusz Felsztyn

## KRYŻ W KORONIE TO NIE WSZYSTKO

Drogi Panie Redaktorze!

Niech mi się wolno będzie przyznać do smutku (może płynącego z przeczulenia?) na widok gorliwości, z jaką ZYCIE i „Gazeta Niedzielnia” kruszą kopie o koronę z krzyżem w godle państwowym. Ten zapal w sprawie słownikowo blahej i niezbyt palącej wydaje mi się objawem mocnego przywiązania do zewnętrznego manifestowania wiary oraz wyrazem gorącej chęci wpływania w duchu katolickim na życie narodu środkami prawnopolitycznymi.

I to przywiązaniu i ta chęć są oczywiście jak najszlachetniejsze, ale na tle naszej zastraszającej obojętności wobec spraw życia wewnętrznego i wobec innych, doskonalszych i skuteczniejszych sposobów chrystianizacji życia publicznego — robia chwila mi przykre wrażenie.

## NOTATKI

dawnictwa na emigracji.

Przewodniczący — jak zwykle, mistrzem ceremonii jest Józef Żywnia.

Dnia 28 bm. w sali bibliotecznej Instytutu im. Gen. Sikorskiego (o godzinie 7.30) odbył się dyskusja n. t. „Dziesięć lat literatury polskiej w Kraju”. W dyskusji wzięła udział: Zdzisław Brunel, Mieczysław Giergielewicz, Janusz Jasińczyk, Jan Tokarski, Tymon Terlecki. Przewodniczy prof. St. Stronicki.

Pisarze przygotowują namto wieczory sztuk czytanych. W planie m. i. nowe sztuki Kazimierza Wierzyńskiego, Bronisława Przyłuskiego, Teodozji Lisiewicz i Kazimierza Sowińskiego.

W Domu Pisarzy Związek urządził od czasu do czasu herbatki towarzyskie. Jeżeli T. S. Eliot przyjmie zaproszenie, będzie gościem Domu Pisarzy z okazji wydania przekładu jego dramatu „Mord w katedrze” przez Oficynę Poetów i Malarzy.

OFICYNĄ Poetów i Malarzy przeniosła się z Tunbridge Wells z Kentu do Londynu, gdzie ustawiła swoje maszyny w arkadzie mostu kolejowego Waterloo, na terenie dawnej wystawy South Bank. Sąsiednią arkadę zajmują na pracownię Feliks Topolski, kilka miesięcy temu eksmitowany z Paddingtonu. Gmina londyńska ma słabość do artystów i bez zbytnich trudności przyznała Polakom arkady pod mostem. Są one obszernie i wygodne, aczkolwiek ściany ciekają wilgocią, a nad głową grzmia co chwila przejeżdżające pociągi.

Oficyna Poetów i Malarzy, to Krystyna i Czesław Bednarczykowie, jeden pedał, jedna maszyna elektryczna, gilotyna i 20 kaszt czcionek. Trochę

sprzętu, dwie pary rąk i dwie zapalone miłośnicy sztuki głowy. Kapitał równy zeru, majątek mizerny, oszczędności duże, zamiary szalone.

Oficyna wydała do tej pory 20 tomików poezji i prozy. Z tego osiem rozszło się całkowicie, dwa dopiero weszły na rynek księgarski. Większość tomików złożyli i wyciżczyli sami Bednarczykowie; parę tylko tłoczyli; dwa pierwsze w całości wykonały obce drukarnie. Tomiki złożone w Oficynie wykonane są członką Półtawskiego. Każdy jest ilustrowany lub zdobiony przez artystę czy kilku artystów, malarzy i grafików.

Na dotychczasowy dorobek Oficyny Poetów i Malarzy składają się następujące pozycje: Jana Olechowskiego „Chwila nočna” (rysunki Zygmunta Turkiewicza), Mariana Czuchnowskiego „Pola młnowe” (rysunki Mariana Kościakowskiego), Bronisława Przyłuskiego „Akord” (rysunki Al. Wercera), „Wiersze” Lorki w przekładzie J. Winczajewicza (rysunki Piotrowskiego i Bohusza Szyski), antologia „Liryki szwedzkiej” w tłumaczeniu L. Wiñarskiego (prace grafików szwedzkich), Tymona Terleckiego „Paryż” (rysunki Mariana Bohusza Szyski), „Wiersze i pieśni Armii Krajowej” (rysunki T. Samotusa), Stefani Zahorskiej „Stacja Abesses” (rysunki F. Topolskiego), Józefa Radzimińskiego „Dzika perła” (rysunki Krystyny Herling Grudzińskiej), „Leonardo da Vinci” (praca zbiorowa, z rysunkami Leonarda), W. Korabiewicza „Bajki” (rysunki Stefana Barana), Norwida „Vade-mecum” (z rysunkami Norwida), Jerzego Dołgi Kowalewskiego „Rozprawy poetyckie”, przekład na angielski Słowackiego „In Switzerland” K. Mackenziego, Melchiora Wańkowiaka „Polacy i Amery-

Kto z nas, katolików polskich na emigracji, oddaje się stale i systematycznie rozmyślaniami (bez czego nie ma chyba życia wewnętrznego), kto codziennie poświęca na to bodaj pół godziny, poza obowiązkową modlitwą poranną i wieczornym rachunkiem sumienia, o ile i tych nie zaniedbuje? Czy i jakie miejsce na liście naszych ulubionych pisarzy dajemy: św. Pawłowi, św. Augustynowi, św. Bernardowi, autorowi „Naśladowania”, św. Katarzynie Sieneńskiej, św. Janowi od Krzyża, św. Teresie Wielkiej, bl. Janowi Ruysbroeck...?

Kto z nas stale i systematycznie (nie tylko od święta narodowego) modli się o panowanie Chrystusa nad Polską? Kto w życiu publicznym robi poważny wysiłek, by nie tylko nie łamać przykazań, nie tylko świecić takimi efektywnymi cnotami jak wielkoduszność, stałość, męstwo, ale i tymi „nieprzyjemnymi” a bezcennymi: pokorą, posłuszeństwem, cierpliwością?

A przecież to o wiele ważniejsze i skuteczniejsze od godeł, symbolów, ustaw i wpływów politycznych. Lepiej mieć nawet „gwiazdę masonską” w godle organizacji zwanej państwem a krzyż w sercu, niż krzyż w godle a w sercu — dumę, przywiązanie do własnego zdania i porywczosć (czytaj: pychę, zadufanie i gniew), czyli... to właśnie uczucia, które na pewno teraz kierują, przynajmniej częściowo, i moim piórem.

Mimo tego wysyłam jednak ten list, bo może jest w nim ziarenko dobrej intencji, godnej utrwalenia w druku, co do czego zdaję się bez zastrzeżenia na sąd Drogiego Pana Redaktora.

Michał Sambor

## WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

RELIGIJNOŚĆ W STANACH ZJEDNOCZONYCH. W Evanston (Illinois) odbyło się drugie z kolei zgromadzenie Światowej Rady Kościołów (World Council of Churches) — organizacji grupującej przedstawicieli wyznań protestanckich. Jeden z mówców stwierdził, że, jak wykazują najnowsze ankiety, liczba osób dorosłych w Stanach Zjednoczonych, które uczęszczają regularnie do kościołów, wzrosła w ciągu ostatnich czterech lat o 9 milionów. Można przyjąć, że obecnie 40% całej dorosłej ludności w Stanach Zjednoczonych regularnie chodzi na nabożeństwa; są to, używając określenia angielskiego, „regular church-goers”. Mówca, jak się zdaje, nie wspominał, że więcej niż połowę tych ludzi stanowią katolicy, których liczba w roku ub. wynosiła 31 milionów 648 tysięcy 424 wiernych i wśród których odsetek praktykujących jest znacznie wyższy niż u protestantów. W każdym razie i wśród tych ostatnich odsetek uczęszczających do kościoła musi być wyższy niż w Wielkiej Brytanii, gdzie oceniany jest na 5-10 procent ogółu osób, formalnie przy należnych do kościoła anglikańskiego lub do kościoła prezbiteriańskiego szkockiego.

Wspomniany mówca na zgromadzeniu Światowej Rady Kościołów zaznaczył, że, jak wskazyują obserwacje, liczba osób uczęszczających do kościoła w Stanach Zjedn. jest szczególnie duża wśród osób po ukończeniu 30 lat życia; jest ona najwyższa wśród inteligencji, najniższa wśród robotników fizycznych. Jest to objaw, występujący, jak wiadomo, także we Francji.

Największy odsetek „church-goers” w Stanach Zjednoczonych przypada na Nową Anglię. Kobiety są na ogół sumienniejsze w praktykach religijnych, ale i wśród mężczyzn zaznaczyła się w tym zakresie zmiana na lepsze. Natomiast, jak do tej pory, niedobrze przedstawia się położenie wśród mas robotniczych i próby przełamania tego stanu rzeczy nie dały dotąd większych wyników. I tu jednak — dodać należy — rzecz przedstawia się najlepiej u katolików.

CZY MOŻNA WIERZYĆ NIEMCOM? W „Sunday Times” znany publicysta i historyk Hugh Trevor-Roper stwierdza, że byliby tchórzostwem nie brać pod uwagę okrucieństw, popełnionych przez hitlerowców. Byłoby to niesprawiedliwe wobec zmarłych i pozabawione poczucia odpowiedzialności wobec żywych.

Faktem jest, że co najmniej osiem milionów niewinnych ludzi zostało zamordowanych w sposób metodyczny i ohydny. Zagadnienie nie polega na tym, że takie rzeczy się stały, gdyż wszystkie społeczeństwa posiadają w swym łonie zbrodniarzy, jeśli nawet nie dają im władzy dyktatorskiej i nie zachęcają do zbrodni. Zagadnienie polega na tym, że pozwolono, by te rzeczy się stały; pozwoliło na to wiedząc co się dzieje 80 milionów „uczciwych” Niemców, którzy kiedyś znowu mogą na to świadomie pozwolić.

Niemcy oczywiście zaprzeczają takiemu stawianiu sprawy. Nie zaprzeczają oni faktom, ale twierdzą, że o nich nie wiedzieli. Zaprzeczenie to — stwierdza Trevor-Roper — jest mało zaszczepne dla ich inteligencji i nie może być przyjęte. Masowe mordy są przemysłem, zatrudniającym pośrednio miliony ludzi. Trzeba budować komory gazowe, wytworzyć narzędzia tortur, wypisać na maszynie rozkazy. Niewolnicy wychodzą do pracy; strażnicy mówią o tych rzeczach; palone trupy wydają won. Społeczeństwo niemieckie nie wiedziało wszystkiego, ale wiedziało dosyć. Potworne rozkazy Hitlera nie miałyby nigdy skutku, gdyby nie przechodziły przez tysiące „szanownych” rąk: rąk niehitlerowskich generałów i admirałów, policjantów i urzędników, funkcjonariuszy i sekretarzy; rąk, które podpisywały i puszczały w ruch, później zaś były używane jak najsztybiej, nim sumienie mogło się poruszyć tym, co uczyniły.

Trevor-Roper polemizuje z cytowanymi już przez nas na tym miejscu twierdzeniem Rebeki West, jakoby przyczyną okrucieństw nazistowskich były rządy totalitarne. „Włochy, Hiszpania i duża część Ameryki Łacińskiej popadały, w tym czy innym czasie, pod reżym totalitarny. Reżymy te mogły nam się nie podobać, ale nie torturowały one ani nie mordowały milionów ludzi”.

Poza tym — stwierdza Trevor-Roper — Niemcy powołały Hitlera do władzy przez głosowanie; władza ta potwierdzona została przez prezydenta i rozszerzona przez parlament.

Oto jest trzon zagadnienia niemieckiego: nie chodzi o to, że Niemcy są zbrodniczym narodem; nie uczynili oni tego, co uczynił Hitler. Ale pozwolili mu to uczynić — i ta neutralność moralna i polityczna jest ponurym faktem, którego nie wolno nigdy w polityce tracić z oczu.

„Czy wobec tego — pyta Trevor-Roper — mamy użyć Niemcom pełnej suwerenności? Byłoby to daniem Adenauerowi czeku in blanco, który zanikasowany mógłby być przez nowego Hitlera”.

## ROZNIKA ARESZTOWANIA KARDYNAŁA WYSZYŃSKIEGO

Wychodząc z założenia, że jednym z głównych obowiązków złożonych na barki przedstawicielstwa narodowego jest stałe informowanie wolnego świata o aktach gwałtu dokonywanych na Narodzie Polskim. Tymczasowa Rada Jedności Narodowej przyjęła jednomyślnie wniosek, aby zorganizować akcję protestów przeciwko przeladaniu Kościoła w Polsce, w związku z przypadającą na dzień 26 września rocznica aresztowania kardynała Wyszyńskiego. Akcja protestu ma mieć charakter międzynarodowy i objąć winna przede wszystkim kraje zachodnie, a nie tylko polskie ośrodki emigracyjne. Najbliższe, po dniu 26 września posiedzenie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej ma być poświęcone zagadnieniu położenia Kościoła w Polsce. Wnioski i uchwały będą zakomunikowane rządowi państw zachodnich, a przebieg obrad ma być transmitowany przez radio do Kraju.

International Book Service, 57, Queen Street W., Toronto i „Radegast”, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna \$ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciel: S. Mikiciuk, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13P) München 54 oraz „Informacja Prasowa” — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturvelen 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: „Gryf Publications” — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz M. Kijowski — 13171, McCouball, Detroit 12, Mich. oraz J. Stojanowska, 424, Ave. „E”, Bayonne N. Jersey, oraz „Pomoc” — Export Import — 761, Fillmore Ave. Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna \$ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna frs. 5.00. Szwecja: Przedstawiciel: Mgr. B. Kurowski — Lund, Rönningegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: Mme. M. Bulhak-Jelska — via Salara 360/e, Roma.

Z Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ZYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2, England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADDINGTON 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rekwizytów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. W P Ł A T Y : a) w krajach bloku szterlingowego: — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (/); b) w krajach bloku dolarowego: — International Money Order lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) w wszystkich innych krajach: — do miejscowego